miesięcznik szczecińskich środowisk prawniczych cena 0,0 PLN ISSN 1732-8225

in gremio

nr 6 (38)
czerwiec 2007

www.ingremio.org

Prawników w togach spotkać można jedynie w sądzie. Ale jak się okazuje nie tylko. W Krakowie bowiem podczas corocznego święta prawników 19 maja organizowanego przez stowarzyszenie Ars Legis przedstawiciele prawniczych profesji przywdziewają służbowe stroje podczas procesji w dniu św. Ivo Helory - patrona wszystkich prawników.

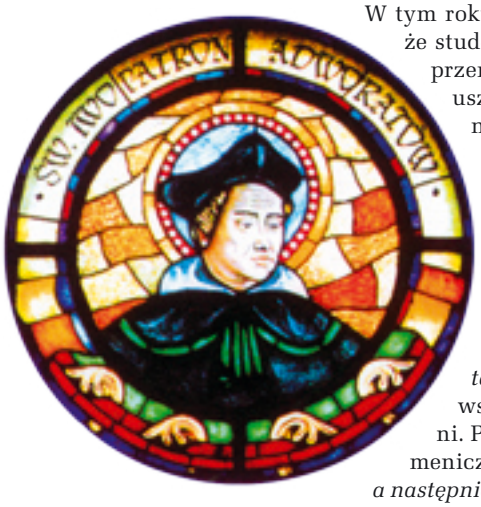

W tym roku mogliśmy na własne oczy zobaczyć jak liczna grupa krakowskich jurystów, a także studentów prawa w tradycyjnych czapkach wydziałowych z niesionym obrazem św. Iwo przemierzała dziedziniec kolegiaty akademickiej św. Anny, w której następnie ks. bp Tadeusz Pieronek, również prawnik odprawił uroczystą mszę świętą. W swej homilii wyraził nadzieję, że także współcześnie są wśród nas prawnicy naśladujący postawę życiową św. Iwo – francuskiego sędziego, adwokata, który nie tylko bronił prawdy i sprawiedliwości, ale od ubogich, wdów i sierot nie pobierał żadnego wynagrodzenia. Po części duchowej przyszedł czas na panel dyskusyjny „Tolerancja, a prawo", w czasie, którego profesorowie: Magdalena Środa, Jan Woleński, Ryszard Legutko, Andrzej Bryk i bp Tadeusz Pieronek spierali się czym jest tolerancja w XXI wieku. Niezwykle wytworna aula Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego wypełniona była po brzegi prawnikami wszystkich profesji. Zdaniem profesora filozofii Jana Woleńskiego słowo tolerancja straciło sens – *Dzisiaj wszystko można nazwać nietolerancją, ale także i wszystko z czym się spotykamy można uznać za tolerancyjne*. Biskup Pieronek wskazał, że tolerancja zawsze powinna dotyczyć osoby, lecz nie zawsze tego co ona czyni. Przypomniał, co o tolerancji mówił Ojciec Święty Jan Paweł II podczas spotkania ekumenicznego we Wrocławiu w 1997 roku – *Tolerancja to za mało – musi być także akceptacja, a następnie miłość*. Jakże aktualne pozostają te słowa....

Jak to bywa zaciekłe dyskusje przy lampce wina i różnych innych pysznościach uczestnicy uroczystości toczyli do późnego wieczora. [ ]

Maciej Krzyżanowski
aplikant prokuratorski
Prokuratury Okręgowej
w Szczecinie

informacje:

Szczecińska Izba Adwokacka podaje, że w 2007 roku 87 osób wyraziło chęć przystąpienia do egzaminu konkursowego na aplikacje adwokacką. Dla porównania informujemy, że w roku 2006r. zainteresowanych było 59 osób. Z Gdańskiej Izby Adwokackiej uzyskaliśmy informację, że w bieżącym roku wymagane dokumenty złożyły 172 osoby, natomiast w roku 2006 do konkursu zgłosiło się 128 chętnych. Do konkursu na aplikacje radcowską w Okręgowej Izbie Radców Prawnych w Szczecinie przystąpi prawdopodobnie 174 osób. Ilość kandydatów w stosunku do roku poprzedniego wzrosła o 31 osób, a w stosunku do roku 2005 o 78 zainteresowanych.

OKRĘGOWA IZBA RADCÓW PRAWNYCH
W SZCZECINIE

W dniach od 8 do 10 maja br. w Okręgowej Izbie Radców Prawnych w Szczecinie odbył się egzamin radcowski. Do egzaminu przystąpiło 12 aplikantów.
Aplikanci uzyskali bardzo wysokie noty - od 4 do 5 za część egzaminu pisemnego i ustnego. Tak wysokiego poziomu OIRP w Szczecinie dotychczas nie zanotowała. Gratulujemy całej dwunastce zdanych egzaminów. Oto nowo wpisani radcowie prawni:

1) Tomasz Całusiński,
2) Joanna Dubinowicz,
3) Tomasz Gąciarz,
4) Wojciech Haduch,
5) Agnieszka Jędrzejczak,
6) Paweł Judek,
7) Bartłomiej Malko,
8) Joanna Maruszewska,
9) Przemysław Mijal,
10) Sebastian Olszewski,
11) Joanna Turek,
12) Sławomir Żakowski.

Marian Falco
Dziekan OIRP w Szczecinie

IUSTITIA POLSKA

14 kwietnia br. w Krynicy Morskiej odbyło się X Wyborcze Zebranie Delegatów Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia". Obecnie prezesem Iustitii jest nadal **Maria Teresa Romer**, sędzia Sądu Najwyższego w stanie spoczynku, a wiceprezesami: sędzia Sądu Okręgowego w Szczecinie **Maciej Strączyński** (wiceprezes ds. organizacyjnych) i sędzia Sądu Rejonowego w Białymstoku **Jolanta Korwin–Piotrowska** (wiceprezes ds. finansowych).
W skład Zarządu Stowarzyszenia Iustitii weszli ponadto: **Katarzyna Gonera** (sędzia SN - Izba Pracy i Ubezpieczeń Społecznych), **Irena Kamińska** (wiceprezes WSA w Warszawie, w przeszłości przed dwie kadencje rzecznik prasowy Krajowej Rady Sądownictwa), **Ewa Nakonieczna-Oleszkiewicz** (sędzia SO w Gdańsku), **Ryszarda Stasiak** (prezes SR w Płońsku) - Ryszarda, a nie Ryszard, bo często mylą, **Tadeusz Szewioła** (sędzia SO we Wrocławiu), **Jacek Tylewicz** (sędzia SR w Poznaniu), **Waldemar Żurek** (sędzia SO w Krakowie).
Wszystkim wybranym jednakowo gratulujemy i życzymy wytrwałości i owocnej pracy, a Panu sędziemu Strączyńskiemu bardziej. [ ]

ingremio

Miesięcznik szczecińskich środowisk prawniczych

www.ingremio.org

Wydawca:
Szczecińska Izba Adwokacka,
pl. Batorego 3; 70-207 Szczecin

Redaktor Naczelny: adw. Roman Ossowski
roman.ossowski@ingremio.org

Redaguje: adw. Roman Ossowski z zespołem

Rada Programowa:

Zygmunt Chorzępa
Prezes Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Szczecinie

Marian Falco
Dziekan Okręgowej Izby Radców Prawnych w Szczecinie

Andrzej Gozdek
Dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Szczecinie

Tadeusz Haczkiewicz
Prezes Sądu Apelacyjnego w Szczecinie

Leszek Pietrakowski
Prezes Izby Notarialnej w Szczecinie

e-mail:
redakcja@ingremio.org

tel. 091 434 01 15

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów

Projekt i przygotowanie do druku: Artur Tokarski

Druk: Angraf, ul. Wojska Polskiego 43, Piła
tel. (067) 352 20 24

ISSN: 1732-8225; Nakład 2500 egzemplarzy

rys. Arkadiusz Krupa (Sędzia Sądu Rejonowego w Goleniowie)

05 • Odkrywać czy zakrywać przeszłość?
adw. Jerzy Chmura

08 • Miłosz, Gabryś i Pani Redaktor
Paweł Szulc OBEP IPN Szczecin

10 • Koniec z immunitetem
Grzegorz Szacoń, Sędzia Sądu Rejonowego w Szczecinie

11 • Dyżurny profesor prawa
Elisz

11 • Oświadczenie Prezydium Okręgowej Rady Adwokackiej w Szczecinie

12 • Promocja mediacji w sądzie
Liliana Jędrzejewska, Sędzia Sądu Rejonowego w Szczecinie

16 • Suicidium
dr n. med. Ewa Kramarz, specjalista psychiatra, biegła sądowa

18 • Strahlhorn - 4190 metrów
adw. Piotr Dobrołowicz

22 • Nieprzydatność aplikanta adwokackiego do wykonywania zawodu w świetle Konstyucji RP
Łukasz Chojniak, aplikant adwokacki Warszawskiej Izby Adwokackiej

23 • Na pożegnanie
Konrad Jarosz, były aplikant Szczecińskiej Izby Adwokackiej

25 • Streaming a pola eksploatacji utworu
Andrzej Oryl, Rafał Malujda - aplikanci radcowscy

26 • Spamming a prawo
Maciej J. Nowak, doktorant w Zakładzie Prawa i Gospodarki Nieruchomościami na Akademii Rolniczej w Szczecinie, prawnik, historyk

28 • Porwanie księcia Bogusława
Maciej Strączyński, Przewodniczący III Wydz. Karnego Sądu Okręgowego w Szczecinie

30 • Postulaty Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z 1789 r. dotyczące ustroju państwa - gwarancją i zabezpieczeniem wolności
dr Marek Tkaczuk, Katedra Historii Prawa, Wydział Prawa i Administracji US

32 • Pełnomocnik w prawie kanonicznym
ks. dr Grzegorz Harasimiak, Katedra Prawa Karnego Materialnego WPiA US

34 • Suplement
Para–Graf

adw. Jerzy Chmura

Odkrywać czy zakrywać przeszłość?

Pod takim tytułem odbyła się w Szczecinie w dniach 18 do 30 czerwca 1996 r. polsko-niemiecka konferencja, której uczestnicy obradowali na temat stosunku do przeszłości w Polsce i w Niemczech.

Spotkanie cieszyło się dużym zainteresowaniem po obu stronach granicy – w Niemczech szczególnie w regionach przygranicznych, stanowiących terytorium byłej NRD.

Niemcy przywieźli doświadczenia z rozliczenia już drugiej w tym stuleciu dyktatury:
- dyktatury narodowego socjalizmu
- dyktatury SED, Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności (Sozialistische Einheits Partei Deutschalnds) w NRD.

Polaków pasjonował problem lustracji. Bowiem właśnie w tym czasie przewidziano w sejmie pierwsze czytanie projektów ustaw lustracyjnych. Nadto nie uległo jeszcze zapomnieniu przesilenie rządowe (upadek rządu Jana Olszewskiego w dniu 5 czerwca 1992), do którego przyczyniła się tzw. afera teczkowa, spowodowana przedstawieniem w sejmie w dniu 4 czerwca 1992 r. słynnej już listy Antoniego Macierewicza - „noc teczek".

Moim udziałem w konferencji było przedstawienie weryfikacji administracji publicznej, wymiaru sprawiedliwości, policji i służb specjalnych w Polsce ze szczególnym uwzględnieniem wyników takiej weryfikacji w Szczecinie. Zwróciłem uwagę, że przedmiotem moich rozważań była weryfikacja a nie lustracja.

Lustracja w ścisłym słownikowym znaczeniu oznacza przegląd, w języku niemieckim Durchsicht, Pruefung. Natomiast weryfikacja oznacza sprawdzenie, potwierdzenie prawdziwości posiadanych kwalifikacji, w niemieckim Beglaubigung, Bestaetigung.

Wyraziłem pogląd, że przeprowadzenie lustracji jest możliwe bez przeprowadzenia weryfikacji. Natomiast przeprowadzenie weryfikacji zawsze zakłada uprzednią lub równoczesną czynność lustracyjną.

Jak wiadomo pierwszą ustawę lustracyjną uchwalono w dniu 11 kwietnia 1997 r. Pomimo to w przeszłości podejmowano próby weryfikacji niektórych ważnych stanowisk i funkcji publicznych. Posługiwano się albo całkiem pozaprawnymi metodami, albo miernikami kwalifikacyjnymi, przewidzianymi w ustawach o ustroju niektórych służb np. w ustawie z dnia 22 marca 1990 r. o zmianie ustroju prokuratury przy weryfikacji prokuratorów, w ustawie z dnia 6 kwietnia 1990 r. o Urzędzie Ochrony Państwa (UOP) przy weryfikacji służb bezpieczeństwa, w ustawie z dnia 6 kwietnia 1990 o Policji przy weryfikacji funkcjonariuszy MO.

Jednak brak stosowanej regulacji ustawowej, określającej precyzyjnie warunki lustracji i gwarancje procesowe chroniące prawa osób podlegających lustracji a w następstwie weryfikacji budziło poważne wątpliwości co do legalności podejmowanych działań weryfikacyjnych. Dał temu wyraz Rzecznik Praw Obywatelskich w sprawozdaniu sejmowym za rok 1991.

Dlatego z wielkim zainteresowaniem wysłuchano referatów Joachima Gaucka, pełnomocnika ds. akt Stasi, Markusa Meckela, posła do Bundestagu, dr Fritza Arendta, byłego pełnomocnika krajowego ds. akt Stasi w Saksonii.

Przedstawili oni niemieckie doświadczenia rozliczenia z przeszłością dla kształtowania demokracji.

W dacie konferencji Niemcy dysponowali już 5 letnim doświadczeniem stosowania ich ustawowych rozwiązań rozliczenia z przeszłością w byłej NRD.

Jak wiadomo w Polsce zarówno pierwsza ustawa z roku 1997 jak też późniejsze ustawowe regulacje obrachunku z przeszłością były i w dalszym ciągu są przedmiotem niekończących się sporów.

Ostatnia ustawa lustracyjna z dnia 18 października 2006 w brzmieniu nadanym ustawą z dnia 14 lutego 2007 (Dz.U. 25 poz. 162) wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego a dnia 11 maja 2007 uznana została w istotnych punktach za niezgodną z Konstytucją. Dlatego nie umniejszając znaczenia wystąpień w toku konferencji znakomitych polskich uczestników Andrzeja Milczanowskiego, prof. Adam Strzębosza czy w słowie wstępnym Kazimierza Wójcickiego i innych ograniczę się do przedstawiania niektórych tez niemieckiego modelu rozliczenia z przeszłością. Niemcy bowiem w wykonaniu z mniejszym lub większym sukcesem modelu, przedstawionego podczas konferencji problem lustracji praktycznie mają już za sobą.

Posługuję się głównie referatem wygłoszonym przez Joachima Gaucka pt. „Czy decyzja o udostępnieniu akt „Stasi" była prawidłowa dla stabilizacji demokratycznych stosunków w Niemczech?", w mniejszym zakresie referatami Marcusa Meckela i dr. Fritz Arendt.

Nieco historii.

Rozliczenia dyktatury hitlerowskiej dokonano rękami Amerykanów i innych aliantów. Gauck powiedział: *„Po roku 1945 alianci wzięli zeszyt do ręki i przeprowadzili denazyfikację. ...Amerykanie i inni alianci na podstawie swej weryfikacji wydalili ze służby ponad*

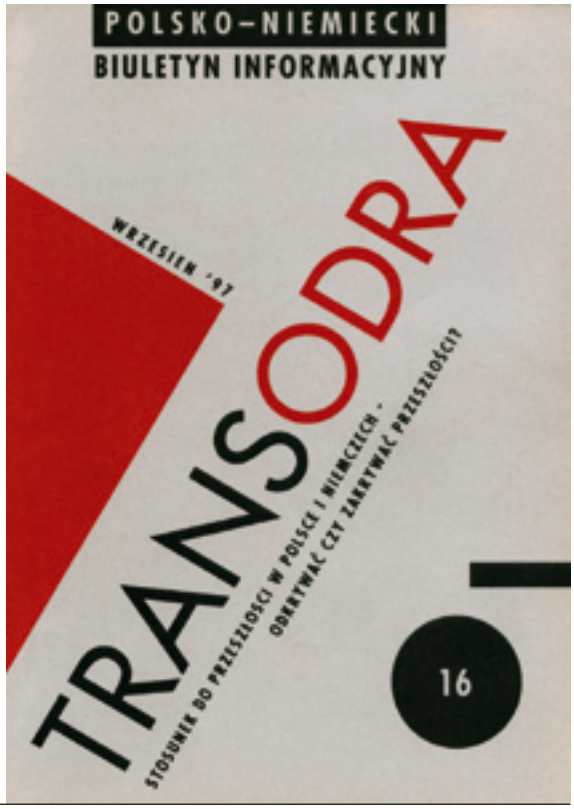

dwa miliony Niemców a w swoich postępowaniach sądowych niejednego Niemca skrócili o głowę, innych zaś skazali na długie więzienia."

W obrachunku z przeszłością w byłej NRD nie przyjęto modelu rozliczenia dyktatury hitlerowskiej.

Według Markusa Meckela samo porównanie dwóch dyktatur w Niemczech jest przedmiotem sporu, gdyż daje się zauważyć różnice narodowego socjalizmu i stalinizmu w warunkach niemieckich. NRD nie była ogniskiem wojny, masowych mordów i ludobójstwa. Punktem porównania z narodowym socjalizmem był raczej stalinowski Związek Radziecki, niż jego zachodnia dyspozytura, NRD.

Z drugiej strony Joachim Gauck zwracając się do polskich uczestników stwierdził, że w NRD funkcjonowała inna bezpieka niż w Polsce. Urząd, który odpowiadał za bezpieczeństwo narodowe w NRD był znacznie większy i bardziej się go obawiano. W liczącej niecałe 17 milionów mieszkańców NRD ponad 90.000 osób pracowało na etatach Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego.

„Rządzący komuniści wynajdowali wrogów i stwarzali mechanizmy, aby działać przeciwko tym wymyślonym i nielicznym rzeczywistym wrogom. Jeśli ta arogancja i neuroza zaczyna działać w sposób prusko-saksoński, to wszystko pogarsza jeszcze bardziej. A więc biada temu, któremu przychodzi żyć w niemieckiej dyktaturze." I w tym widział Gauck różnicę w stosunku do sytuacji w Polsce.

Doświadczenie obu dyktatur, a szczególnie doświadczenie z nieudanego lub nie całkiem udanego rozliczenia z pierwszą dyktaturą, jak to ocenia Joachim Gauck, przyczyniło się do tego, że w Niemczech Wschodnich nie planowano dekomunizacji analogicznie do denazyfikacji.

„Dla rządzących byliśmy łagodni, przyjaźni, ale chcieliśmy przynajmniej przestać widzieć w służbie publicznej szpicli i funkcjonariuszy tajnej policji", jak to określił Gauck.

Po pierwszych wolnych wyborach w NRD w Izbie Ludowej istniała zgoda aby rozwiązać Stasi, a akta zabezpieczone przez lud należało otworzyć. Akta miały zostać jakby uspołecznione i wykorzystane w trzech obszarach: politycznym, prawnym i historycznym.

Ważne dla żyjących w NRD Niemców było to, że ustawodawstwo w sprawie Stasi było wyrazem bezspornej woli politycznej wschodnioniemieckich demokratów, przy ponadfrakcyjnym zdecydowaniu. Inaczej niż w Polsce i na Węgrzech gdzie problematyka lustracyjna od początku wykorzystywana była w kontekście polityki partyjnej.

Izba Ludowa NRD ustawą z dnia 24 sierpnia 1990 uchwaliła. niemiecki model rozliczenia z SED. Ustawa ta umożliwiła sprawdzenie, czy osoby pracujące w służbie publicznej nie współpracowały oficjalnie lub nieoficjalnie z tajnymi służbami NRD.

W świetle tej ustawy przeprowadzono ograniczoną wymianę elit. Tych którzy współpracowali nie chciano widzieć jako policjantów, nauczycieli czy sędziów.

Obowiązująca ustawa o Stasi, przyjęta w roku 1991 przez niemiecki Bundestag zawiera podstawy ustawy Izby Ludowej z 24 sierpnia 1990 r.

W niemieckim Bundestagu przy rozważaniu płynących z ustawy korzyści uznano, że *„oczywiście ważniejsze są interesy uciskanej większości niż interesy małej represyjnej oligarchii".* Kwestia interesów ofiar odegrała zasadniczą rolę. Nie jest to ustawa lustracyjna w zasadniczym znaczeniu lecz ustawa o wykorzystaniu akt.

Jakie cele otwarcia akt przyświecały ustawodawcy niemieckiemu?

1. Umożliwienie jednostce dostępu do informacji, zebranych przez służbę bezpieczeństwa w stosunku do jej osoby, aby w ten sposób mogła oceniać wpływ służby bezpieczeństwa na swoje osobiste losy.

W tym miejscu należy wyjaśnić na czym opierali Niemcy zgodność ustawy w zakresie dostępu do informacji z przepisami o ochronie danych osobowych.

Amerykanie sformułowali zasadę informacyjnego samostanowienia i przyjęli tę zasadę w ustawie „Freedom of Information Act". W Niemczech w dniach konferencji nie było takiej ustawy. Jednak zasadę tę wyrosłą z liberalnego myślenia w Europie Zachodniej i Ameryce przyjął Federalny Sąd Konstytucyjny rozstrzygnięciem, że jeśli ktoś chce w pełni korzystać ze swoich podstawowych praw zawartych w konstytucji musi wiedzieć, jakie informacje o nim zostają zebrane

i gdzie są one przechowywane Na tym właśnie polega prawo do informacyjnego samostanowienia.

2. Ochrona jednostki przed tym, aby przez dostęp do informacji zebranych w stosunku do jej osoby przez służby bezpieczeństwa nie uległy ograniczeniu jej prawa osobiste.

3. Wspieranie historycznego, politycznego i prawnego rozliczenia działalności służby bezpieczeństwa państwowego.

4. Udostępnienie instytucjom publicznym i niepublicznym potrzebnych informacji zgodnie z celami ustawy. Chodzi o sprawdzenie personelu służby publicznej.

Następnie utworzono urząd, który miał realizować ustawę. Jest to Urząd do spraw akt Stasi, a pełnomocnikiem tego urzędu jest Joachim Gauck – Urząd Gaucka.

Zarówno urząd jak i pełnomocnik działający wprawdzie w obszarze rządu nie są podporządkowani rządowi pod względem merytorycznym. Nie podlegają kontroli czy wskazówkom merytorycznym.

Obywatel jest chroniony tą niezależnością Urzędu. Urząd nie jest podporządkowany jakiemuś partyjnemu politykowi, lecz tylko ustawie. Można nakazać sądowe sprawdzenie działalności Urzędu

Urząd i pełnomocnik są pośrednikami pomiędzy zasobami archiwalnymi a tymi, którzy są uprawnieniu do korzystania z nich.

Na pytanie czy wymienieni z nazwiska pracownicy byli współpracownikami Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego udziela urząd informacji na podstawie akt. Nie uczestniczy jednak w podejmowaniu decyzji czy dana osoba zostanie wydalona ze służby publicznej.

Przy sprawdzaniu nie udostępnia Urząd służbie publicznej akt ofiar. Akta ofiar należą tylko do nich i one mogą decydować co stanie się z informacjami w nich zawartymi.

W dniach konferencji urząd zatrudniał 3050 osób, dysponował aktami (dokumentami) o długości 194 km. Do załatwienia wpłynęło 3 miliony wniosków.

Przedstawiając szczególne korzyści tej regulacji ustawowej podał Joachim Gauck następujące główne zalety:

1. Osoby, które kiedyś były niesprawiedliwie prześladowane, czy nawet aresztowane przy pomocy tych akt mogą znacznie łatwiej zostać zrehabilitowane

2. Uzyskanie informacji czy na temat konkretnej osoby są akta służby bezpieczeństwa i kto śledził taką osobę. Gauck przytacza tu spostrzeżenie, że współcześni dyktatorzy nie mordują i nie torturują, lecz stosują nową technikę panowania nad jednostką, która polega na zbieraniu informacji i zakładaniu akt osobowych, aby przy ich pomocy wywoływać poczucie strachu poczucie bycia nadzorowanym. Chodzi o tworzenie klimatu na wzór orwellowski. Otwarcie i udostępnienie akt miało ujawnić taką technikę panowania.

3. Oddzielenie plotki od faktów. Poprzez możliwość wglądu do akt można skutecznie bronić się faktami przed złośliwą plotką. Przy pomocy dostępu do źródeł można oddzielić prawdę od plotki.

4. Rozpoznanie grupy ludności, którą nazwano Oficerowie do misji specjalnych Służby Bezpieczeństwa Państwowego *(Offiziere im besonderen Einsatz der Staatssicherheit)*. Byli oni profesorami uniwersytetu, oficerami policji, managerami gospodarczymi. Ale w rzeczywistości byli oficerami służby bezpieczeństwa. Te grupy ujawniano i w razie potrzeby zwalniano.

5. Ze służb publicznych wydalono szpicli-zdrajców. Oceniono, że nie więcej niż 2% niemieckiego społeczeństwa było powiązanych z Ministerstwem Bezpieczeństwa Państwowego.

Problem weryfikacji w służbach publicznych, wymiarze sprawiedliwości, policji i służbach tajnych przedstawił Fritz Arendt.

Podstawą prawną weryfikacji stanowił traktat zjednoczeniowy i krajowe ustawy o urzędnikach państwowych. Rzeczowe podstawy postępowania weryfikacyjnego oparte były przede wszystkim na informacjach pochodzących z akt Stasi.

Częściowo miało miejsce osobiste rozliczenie się pracowników ze swoją własną przeszłością. Potrzebowało to bodźca zewnętrznego. Sam fakt istnienia otwartych akt stanowił ów bodziec zewnętrzny, który sprowokował osobiste rozliczenie.

Pełnomocnicy krajów związkowych wprowadzili przy lustracji i weryfikacji zasadę wyważania pomiędzy tym, co zarzuca się pracownikowi i oczekiwaniami. które mają służby publiczne co do danego pracownika. Na przykład inne wymagania stawiać się powinno sekretarzowi stanu czy ministrowi a inne sprzątaczce.

Joachim Gauck dodał, że weryfikacje w Niemczech przewidziane były tylko w okresie przejściowym. W ustawie zapisano, że mogą one trwać najwyżej 15 lat. W dyskusji zwracając się do polskich uczestników konferencji powiedział Joachim Gauck: *„Być może nawet nie potrzebujecie żadnej lustracji a tylko dostępu osób zainteresowanych do ich własnych akt."*

Z medialnych doniesień po wydaniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego wynika, że polityczna wola otwarcia i publicznego udostępnienia tak zwanych teczek jest coraz bardziej powszechna.

Czyżby po 11 latach miał się spełnić sugestywny wpływ przekonania Joachima Gaucka o korzyściach otwarcia i powszechnego udostępnienia akt?.

Materiały z konferencji utrwalone zostały w języku polskim i niemieckim w Polsko-Niemieckim Biuletynie Informacyjnym TRANSODRA z września 1997 r.

Biuletyn ten jest dostępny u adwokata Jerzego Chmury. [ ]

Autor jest adwokatem z ponad 40-letnim stażem, w latach 80-tych obrońca w procesach politycznych, w latach 90-tych Senator RP oraz Sędzia Trybunału Stanu, uhonorowany odznaczeniem Adwokatura Zasłużonym.

Miłosz, Gabryś i Pani Redaktor

Przyszli o godzinie 6:00. Niemal zawsze tak robili, mając pewność, że zastaną kogoś w domu. Przeszukanie mieszkania trwało dwie godziny, po czym zabrano Panią Redaktor na komisariat. Zanim jednak do tego doszło, szczecińska Służba Bezpieczeństwa blisko trzy miesiące przygotowywała się do tej akcji.

Przyjechała do Szczecina na początku lat 70. jako świeżo upieczona absolwentka polonistyki. Rozpoczęła pracę w bibliotece, poznając równolegle miejscowe środowisko literackie. Publikowała recenzje i krytyczne eseje w „Spojrzeniach", przygotowywała „Szczecin literacki" oraz almanach poezji szczecińskiej. Zauważona przez Jerzego Szafulskiego rozpoczęła pracę w Polskim Radiu Szczecin. Z literatami kontaktu nie zerwała. Będąc sekretarzem Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich w Szczecinie poznała dość dobrze to środowisko. Nie dość dobrze jednak, by ocenić, że jeden z jego członków będzie już niedługo powodem wielu jej zmartwień.

Tajny współpracownik „Gabryś", bo taki przydomek przybrał sobie jeden z młodych literatów, pierwsze informacje na temat Pani Redaktor przesłał już rok przed całą akcją. Pisał, że ustosunkowana jest do ówczesnej rzeczywistości pozytywnie, choć nie podoba jej się zwiększona propaganda jaką musi uprawiać w radiu przed kolejnym zjazdem partyjnym. Informował także o charakterze jej pracy, o ludziach, z którymi się spotyka. Wtedy o tym nie myślała, ale dziś z perspektywy czasu, wspomina: *Musiałam być już wtedy dla nich łakomym kąskiem. Miałam „dojście" zarówno do środowiska dziennikarskiego, bibliotekarskiego, jak i literackiego w Szczecinie.* Nie ma śladów w dokumentach, świadczących o tym, żeby już wtedy SB interesowała się nią bardziej. Być może czekano na lepszy czas – być może na lepszą okazję. Ta nadarzyła się jesienią 1976 roku.

TW „Gabryś", płodny szczeciński twórca, zapytał Panią Redaktor, wyjeżdżającą na urlop do Zakopanego, czy mógłby skorzystać z jej mieszkania, aby tam pisać, bo jak twierdził – w domu nie ma najlepszych warunków. Ponieważ ich relacje wybiegały poza sprawy zawodowe, Pani Redaktor zgodziła się. Na podstawie zachowanych archiwaliów nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy było to planowe działanie, realizacja narzuconego przez SB zadania, czy też sprawa „trafiła się" przypadkowo. 8 września „Gabryś" przekazał kluczowy donos: Pani Redaktor posiada u siebie w domu literaturę bezdebitową. Choć urlop był zaledwie tygodniowy, SB zareagowała szybko. Jeszcze na dzień przed jej powrotem postanowiono sprawdzić tę informację, dokonując tajnego przeszukania. Aby upewnić się, że Pani Redaktor nie wróciła wcześniej do domu, TW „Gabryś" wszedł do mieszkania pierwszy, po czym dał sygnał oficerowi SB, że można śmiało wchodzić. Informacja została potwierdzona – w mieszkaniu znaleziono odpis maszynowy zbioru wierszy Czesława Miłosza pt. „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada". Machina ruszyła...

Zlecono TW „Kawałkowskiemu", pracownikowi szczecińskiej rozgłośni, scharakteryzowanie wszystkich pracowników Redakcji Literackiej. TW „Kawałkowski" wywiązał się z zadania i po kilku dniach opisał m.in. Panią Redaktor, podając również nazwiska osób, z którymi utrzymuje bliższe kontakty. W międzyczasie ustalono, że zajmowane przez nią mieszkanie należy do pewnego aktora, a ona nie jest w nim zameldowana. Już na tym poziomie oceniono, że z racji swoich kontaktów, byłaby doskonałym źródłem informacji przynajmniej w pięciu prowadzonych wtedy przez SB sprawach. Zwrócono się do Uniwersytetu Łódzkiego z poleceniem o przesłanie jej akt osobowych, aż wreszcie przygotowano „Plan opracowania kandydata na TW", oraz „Plan przeprowadzenia kombinacji operacyjnej". Aby chronić swoje źródło informacji, a trzeba przyznać, że udało się im to, bo Pani Redaktor dopiero po 30 latach dowiedziała się, że źródłem całej sprawy był właśnie TW „Gabryś", zaplanowano stworzyć coś, co w nomenklaturze SB określane było mianem „legendy". W tym wypadku chodziło o fikcyjny pretekst do przeszukania. Miał nim być rzekomy przemyt i handel dewizami właściciela mieszkania, który w tym czasie nie mieszkał, ani nie pracował w Szczecinie.

O 6:00 rano, na początku grudnia 1976 roku, dwóch nieumundurowanych mężczyzn, nie przedstawiając nakazu, po przedstawieniu przygotowanej wcześniej legendy, rozpoczęło przeszukanie. Przypomniały mi się te wszystkie straszne historie o UB z lat 40. i 50. – wspomina dzisiaj. - Bałam się strasznie, ale zastanowiło mnie, że choć powiedzieli, że szukają materiałów z przemytu, od razu zainteresowali się książkami. Miłosz znaleziony został szybko, ale żeby zachować pozory, przeszukanie trwało nadal. Znaleziono jeszcze dwa numery czasopisma „Gwiazda polarna" wydane w Stanach Zjednoczonych, w języku polskim, które Pani Redaktor otrzymała od mieszkającej tam

siostry. Rzeczy z przemytu nie znaleziono, ale w związku z „nielegalną literaturą" zabrano Panią Redaktor na komisariat. Zszokowana sytuacją, przestraszona, podała nazwisko zaprzyjaźnionego literata, od którego otrzymała maszynopis. Nie wiedziała, że TW „Gabryś" już dawno temu przekazał im tę informację. Miałam ogromne wyrzuty sumienia, że podałam im to nazwisko. Ale człowiek bał się. Mogłam przecież powiedzieć, że ktoś podrzucił mi to pod drzwi, ale taki pomysł przyszedł mi do głowy dopiero po fakcie. Po pobraniu wyjaśnień na piśmie, stwierdzono, że „w związku z popełnieniem przestępstwa brania udziału w kolportażu literatury bezdebitowej w kraju, wydanej przez ośrodki dywersji ideologicznej", sprawa będzie skonsultowana z prokuratorem. Nakazano jej stawić się następnego dnia.

Mieszane uczucia - z jednej ulga, że nie zatrzymali, z drugiej jednak niepewność tego co będzie dalej, nie pozwalały zaznać spokoju. Następnego dnia, przygotowana przez swoją kierowniczkę, żeby niczego nie podpisywać, udała się na Małopolską. Tam kazano jej czekać godzinę pod drzwiami, aż wreszcie rozpoczęto przesłuchanie. Zgodnie z przygotowanym dużo wcześniej scenariuszem rozmowy, podkreślono raz jeszcze powagę sytuacji, przedstawiono artykuły kodeksu karnego, jakie złamała i jakie będą tego konsekwencje, żeby wreszcie zasugerować, że jest oczywiście pewne wyjście z tej kłopotliwej sytuacji. Reakcja Pani Redaktor była jednak jednoznaczna. Oficer w sprawozdaniu zanotował: *„Nie wyraziła ze swej strony żadnej skruchy, ani dążności do rehabilitacji za popełniony czyn, twierdząc, iż nie widzi takiej potrzeby. [...] Figurantka z całą stanowczością oświadczyła, iż jest gotowa przyjąć wszystkie konsekwencje karno-administracyjne"*. Prawdopodobnie musiał sporządzić ten raport gdy już ochłonął, bo z relacji Pani Redaktor wynika, że jej nonszalancki opór strasznie go zdenerwował. Stał mi nad głową i krzyczał. Bałam się, że mnie uderzy. Nie zrobił tego na szczęście. Została wypuszczona do domu z informacją, że sprawa zostanie przekazana do prokuratury, a w miejscu pracy, zostaną wyciągnięte dodatkowe konsekwencje, które mogą zaowocować także zwolnieniem z radia.

W międzyczasie Pani Redaktor spotkała się z, jak to go wtedy określała, dobrym kolegą – TW „Gabrysiem" i, jak to on sam w kolejnym donosie do SB relacjonował, „w najgłębszej tajemnicy" wyjawiła mu historię przeszukania i przesłuchania, określając dobitnie uczestniczącego w nich oficera SB mianem „ćwokowatego osobnika", czego również TW „Gabryś" nie pominął w swoim sprawozdaniu.

Już w marcu następnego roku Pani Redaktor, „pracownik frontu ideologiczno-propagandowego", została po raz kolejny wezwana na rozmowę dyscyplinującą. Tam zobowiązała się do „ścisłego przestrzegania w przyszłości zasad zgodnego z prawem ubiegania się o dostęp do bezdebitowej literatury". Szczęśliwie dla niej dwa miesiące później prokurator, po przeanalizowaniu sprawy, umorzył dochodzenie, uznając stopień szkodliwości czynu za znikomy. O zajściu poinformowano wojewódzką instancję partyjną i zakład pracy, a Panią Redaktor ukarano grzywną za mieszkanie bez zameldowania.

Historia Pani Redaktor nie jest wyjątkowym przypadkiem. Służba Bezpieczeństwa zazwyczaj szukała tzw. „haków" na ludzi, aby móc ich później szantażować. W tym wypadku warta odnotowania jest postawa Pani Redaktor, która miała na tyle odwagi, aby pokrzyżować plany SB. Nie zgodziła się na współpracę i nie podpisała zobowiązania. Nie straciła pracy – co więcej, jeszcze w latach 80. awansowała na stanowisko kierownicze.

W jej historii pozostaje jednak wiele pytań bez odpowiedzi, zwłaszcza tych dotyczących TW „Gabrysia". Z analizy zachowanych akt w archiwach IPN w Szczecinie wynika, że ów literat wykorzystywany był jeszcze jako informator w co najmniej kilku innych sprawach, jednak w żadnej z nich nie pełnił tak kluczowej roli. Dlaczego wykazał się tak dalece posuniętą „inicjatywą" i doniósł na Panią Redaktor? Czy był to jego pomysł, czy narzucone mu zadanie? Czy zrobił to z obowiązku, czy dostał za to pieniądze? Z dokumentów wynika, że pozyskując go do współpracy SB szantażowała go, ale i czy tym razem szantaż odgrywał rolę? Wiadomo, że mniej więcej w tym właśnie czasie rozpoczęły się jego poważne problemy z alkoholem. Czy spowodowane wyrzutami sumienia? Tego się już nie dowiemy. Zarówno on sam, jak i prowadzący sprawę oficer SB już nie żyją. A jak Pani Redaktor przyjęła informację o tym, kto był sprawcą jej nieszczęścia? Dość dobrze, nie dała po sobie poznać złości, żalu, czy niechęci do tej osoby, choć po chwili dodała: *Śmierć uchroniła go przed niemiłą konfrontacją, bo jak on by dzisiaj spojrzał mi w oczy?* [ ]

Paweł Szulc OBEP IPN Szczecin

Grzegorz Szacoń
Sędzia Sądu Rejonowego w Szczecinie

Koniec z immunitetem

Nowelizacja Ustawy Prawo o ustroju sądów powszechnych przegłosowana przez Sejm w dniu 24 maja 2007 roku uświadomiła sędziom jak niebezpieczną grupę zawodową stanowią. Do postępowania z sędziami wprowadzono środki, których ustawodawca nie przeciwstawił nawet najcięższym przestępcom. Oto w postępowaniu dyscyplinarnym sędzia, którego dotyczy wniosek ma prawo wglądu do dokumentów, chyba, że prokurator zastrzeże, że nie mogą być sędziemu udostępnione (art. 80 § 2 f). Sąd dyscyplinarny będzie miał na decyzję 24 godziny - bez możliwości odroczenia rozprawy (art. 80 a § 1 i art. 80 b § 1). Na posiedzenie sądu dyscyplinarnego sędzia będzie doprowadzany przez organ, który dokonał zatrzymania. Nawet przy wstrzymaniu wykonania uchwały sądu dyscyplinarnego prokurator będzie mógł wykonać z udziałem sędziego niezbędne czynności procesowe (art. 80 a § 3), a w posiedzeniu sądu dyscyplinarnego pozbawiany immunitetu sędzia nie będzie mógł uczestniczyć (art. 80 b § 3).

Nie może ulegać wątpliwości, że w opisywanym układzie prawnym immunitet sędziowski praktycznie przestaje istnieć. Możliwość zatrzymania sędziego i jego doprowadzanie do sądu dyscyplinarnego (jak myślę: skutego kajdankami - dla jego bezpieczeństwa oczywiście) jest kresem tej formy gwarancji niezawisłości sędziowskiej. Fikcją stanie się normalne procedowanie sądu dyscyplinarnego, jeśli uchwała o pociągnięciu do odpowiedzialności ma zapadać w tempie, którego nie doświadczy nawet najlichszy chuligan (on ma wszak prawo do dwutygodniowej przerwy w rozprawie). Uniemożliwienie sędziemu uczestnictwa w rozprawie jest stworzeniem osobliwego procesu - bez udziału osoby, która jest jego podmiotem. Zresztą, jakie znaczenie ma decyzja sądu dyscyplinarnego, jeśli nawet jej wstrzymanie nie zablokuje możliwości prowadzenia z sędzią przez prokuratora niezbędnych czynności.

Największym absurdem jest zatajenie przed sędzią dokumentów stanowiących podstawy wniosku o pociągnięcie do odpowiedzialności dyscyplinarnej. Możliwość poznania podstaw oskarżenia jest elementarnym uprawnieniem każdego podejrzanego. Jak widać projektodawcy nie uznali, że uzyskanie przez sędziego wiedzy o powodach, dla których jego dorobek i kariera mogą zostać przekreślone jest prawem godnym ochrony. W takiej sytuacji właściwie nie istnieje możliwość obrony sędziego w postępowaniu dyscyplinarnym, przynależna przecież każdemu obywatelowi i w każdej procedurze prowadzonej na podstawie ustawy.

Nie miejce tu, aby wykazywać niekonstytucyjność nowelizacji, choć w opiniach prawnych pojawia się aż siedem zarzutów o jej niezgodności z Konstytucją. Stwierdzenia wymaga jedno: przegłosowane przepisy nie są elementami jakiejkowiek demokratycznej procedury - są one opisem etapów przez jakie dana osoba musi przejść. Bez alternatywy i z możliwie jednym założonym efektem.

Wypada mieć nadzieję, że każdy prokurator wnioskujący o pozbawienie immunitetu sędziego będzie dążył do ustalenia, czy nie padł on ofiarą prowokacji, czy pomówienia z równą gorliwością, z jaką zastępca Prokuratora Generalnego Przemysław Piątek bronił w Sejmie konstytucyjności i potrzeby wprowadzenia nowelizacji. Argumenty przedstawione podczas dyskusji nie przystają do rzeczywistych skutków proponowanych zmian. Postępowanie immunitetowe nie ma tylko charakteru formalnego. Samo wszczęcie postępowania dyscyplinarnego powoduje stan, w którym normalne wykonywanie obowiązków przez sędziego staje się niemożliwe. Wszak Minister Sprawiedliwości będzie mógł zarządzić przerwę w wykonywaniu obowiązków przez sędziego natychmiast, nawet jeśli proces wszczęto na skutek prowokacji.

Można było przewidywać, że przejawiona w ostatnich orzeczeniach niezależność Trybunału Konstytucyjnego od świata polityki pociągnie za sobą skutki dla środowiska sędziowskiego. Trudno było jednak podejrzewać, że odpowiedzią na nią będą tego typu eksperymenty w ustroju sądownictwa. Mają one bowiem charakter wynaturzeń nieznanych demokratycznemu porządkowi prawnemu. Głosowanie wprowadzające nowelizację stało się faktem - dziś więc parafrazując stare powiedzenie o potrzebie rozsądku i sprawiedliwości możemy powiedzieć: jest jeszcze Trybunał w Warszawie! [ ]

rys. Arkadiusz Krupa (Sędzia Sądu Rejonowego w Goleniowie)

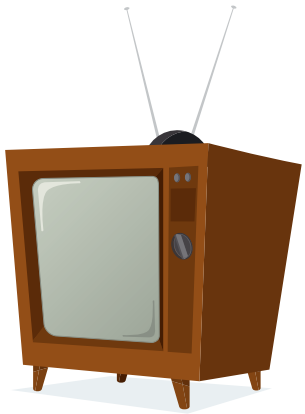

Dyżurny profesor prawa

Dyżurny profesor prawa wybrał sobie niełatwy kawałek chleba. Musi być pod telefonem dla każdej redakcji, której go podał. A może okazać się potrzebny w każdej chwili, żeby powiedzieć na antenie czy dzisiejszy wyrok był sprawiedliwy, czy nie. Przy każdym aresztowaniu (udanym na tyle, że zostaje jeszcze jakiś żywy zatrzymany) i przy migawkach z sal sądowych trzeba będzie przewidzieć, czy ten lub ów pójdzie siedzieć. Widzowie tego nie wiedzą, ale wie dziennikarz, który chce profesorskiego komentarza. Dziennikarz ma rację i chyba nie zdarzyło się, żeby profesor miał odmienne zdanie. Przeczuwa, że z takiego zdania dziennikarz nie będzie zadowolny. Wtedy mógłby zadzwonić do innego stale czuwającego profesora – i żegnajcie widoki na pokazanie się w wieczornym dzienniku. Dlatego profesor stara się być w zgodzie z każdym, kto trzyma mikrofon.

Dyżurny profesor nie może być łaskawy dla sądów, czy urzędów. Aferę i niesprawiedliwość zdemaskuje już w pierwszym zdaniu swojej przenikliwej oceny. Nie znosi tych wszystkich powolnych procedur. Po co one są? Żeby utrudniać ludziom życie? Nie cierpi wyroków na "zwykłych" ludzi. One są właściwie zawsze za jakieś drobiazgi nie warte sprawy sądowej, a najczęściej są takie surowe. Do kamery latającego reportera dobrze wypada jego święte oburzenie. Kiedy go pytają o jakąś publiczną osobę, to jeszcze może nie będzie sarkać na wyrok. Byle tylko nie na tych na pewno niewinnych. A na polityków? To zależy od partii polityka i redaktora, który pyta.

Złośliwy powie, że dyżurny profesor ma poglądy tak różnorodne, że można je tylko podzielić na parzyste i nieparzyste. Raz grzmi na nadużywanie władzy, a jutro będzie narzekał na nieporadność organów. Ale to oczywiście złudzenie nieuważnych słuchaczy, bo profesor w każdej sytuacji ma rację.

Dyżur trwa świątek, piątek i niedziela. Przecież, ktoś tak mądry i niezależny musi być dla społeczeństwa jak latarnia. [ ]

Elisz

Oświadczenie Prezydium Okręgowej Rady Adwokackiej w Szczecinie

Prezydium Okręgowej Rady Adwokackiej w Szczecinie z dezaprobatą przyjęło uchwalenie przez Sejm nowelizacji ustawy Prawo o ustroju sądów powszechnych.

Przyjęte rozwiązania prawne, pozwalające na uchylenie immunitetu sędziowskiego w ciągu 24 godzin, a także rozszerzające uprawnienia Ministra Sprawiedliwości o możliwości zarządzania wobec sędziego przerwy w czynnościach służbowych, a nawet - w skrajnych przypadkach - wyznaczania, bez konsultacji ze środowiskiem sędziowskim, osoby pełniącej obowiązki prezesa sądu, godzą w fundamenty władzy sądowniczej, filaru Rzeczypospolitej Polskiej. Osiągnięty w niepodległej Polsce faktyczny rozdział pomiędzy władzą sądowniczą a wykonawczą, stanowiący zasadnicze osiągnięcie młodej polskiej demokracji, może zostać unicestwiony na skutek gry politycznej, obliczonej na osiągnięcie doraźnych efektów.

Dobro Państwa oraz spoczywający na Adwokaturze obowiązek obrony praw obywateli Rzeczypospolitej każą stanowczo przeciwstawić się takiemu traktowaniu instytucji demokratycznego systemu prawnego. Wzywamy zatem Senat RP do odrzucenia przyjętej przez Sejm RP nowelizacji ustawy Prawo o ustroju sądów powszechnych w zakresie godzącym w niezawisłość sędziów i umożliwiającym zbyt daleką ingerencję Ministra Sprawiedliwości w dotychczas niezależny od polityki ustrój polskiego sądownictwa.

Członkowie Społecznej Rady ds. Alternatywnych Metod Rozwiązywania Konfliktów i Sporów: Maciej Tański (Fundacja Partners), SSR Rafał Cebula (Sąd Rejonowy w Będzinie), dr Janina Waluk (Polskie Centrum Mediacji), dr Ewa Gmurzyńska (Uniwersytet Warszawski).

Promocja mediacji w sądzie

- referat z konferencji zorganizowanej przez Fundację Partners Polska „Mediacja: prawo, praktyka, perspektywy. Mediacja cywilna w Polsce od grudnia 2005 r." w kwietniu 2007 r.

Moje osobiste zainteresowanie mediacją zrodziło się w związku z rodzajem spraw, w których orzekam. Od 2002 r. pracuję bowiem w wydziale, w którym rozpoznawane są sprawy cywilne toczące się w trybie nieprocesowym. Znaczną część z nich stanowią sprawy o dział spadku, o podział majątku oraz z zakresu prawa rzeczowego, w tym wynikające ze stosunku współwłasności, takie jak zniesienie współwłasności, ustalenie sposobu korzystania z rzeczy wspólnej, zezwolenie na czynność zarządu rzeczą wspólną, a także tzw. rozlicznie konkubinatu. Sprawom tym z racji ich natury towarzyszą bardzo silne emocje stron, często na sali sądowej widać jak bardzo są skonfliktowane. Jednocześnie z racji swej wielowątkowości sprawy te należą do najtrudniejszych i najbardziej skomplikowanych spośród wszystkich, które się w sądach toczą. Jeden spór pomiędzy takimi osobami generuje cały szereg kolejnych spraw sądowych. Skłóceni małżonkowie zaczynają od sprawy rozwodowej, następnie wnoszą o podział majątku. W międzyczasie procesują się o kwestie dotyczące alimentów i władzy rodzicielskiej oraz składają na siebie nawzajem doniesienia o przestępstwach znęcania się nad członkami rodziny, gróźb karalnych lub molestowania seksualnego dzieci. Znane są w sądzie szczecińskim sprawy rodzinne i sąsiedzkie, gdzie pomiędzy tymi samymi osobami toczy się równolegle nawet kilkadziesiąt spraw.

Specyfika pracy spowodowała więc, że zaczęłam poszukiwać innego sposobu zakończenia tego typu spraw, zanim konflikt się rozwinie. Mediacja jest najbardziej wskazana dla osób, które są zmuszone zachować trwałą relację między sobą, np. członkowie rodzin, sąsiedzi. Dlatego też, od chwili wprowadzenia przez ustawodawcę do kodeksu postępowania cywilnego instytucji mediacji, zaczęłam ją stosować, a następnie zachęcać do tego samego innych sędziów.

W 2006 r. sędziowie z III Wydziału Cywilnego skierowali do mediacji ponad 50 spraw, w około 60% tych spraw strony wyraziły zgodę na przystąpienie do mediacji. Spośród mediacji, na które strony wyraziły zgodę, w ponad 80% spraw doszło do podpisania ugody. Jest to bardzo wysoki odsetek, zważywszy na charakter konfliktów. Interesujące jest, że w sprawach, w których zgody na mediację nie wyrażono, zawarto dużo ugód sądowych. Wydaje się, że sama propozycja mediacji mobilizuje strony do podjęcia rozmów i zastanowienia się nad polubownym rozwiązaniem sporu.

Spośród spraw, które skierowaliśmy do mediacji, większość stanowiły podziały majątku, działy spadku, ustalenie sposobu korzystania z rzeczy wspólnej. Mamy również podpisaną pierwszą ugodę w sprawie

z wniosku Gminy Miasto Szczecin z udziałem wspólnoty mieszkańców o zezwolenie na czynność zarządu nieruchomością wspólną. Z dotychczasowego doświadczenia wynika, że pełnomocnicy Gmin chętnie zgadzają się na mediację.

Pierwsze doświadczenia w zastosowaniu mediacji w sądzie szczecińskim pokazały, że za pomocą tej metody zakończono m.in trzy równolegle toczące się sprawy pomiędzy rozwiedzionymi małżonkami: o zapłatę, podział majątku i ustalenie sposobu korzystania. W wyniku mediacji zawarta została również ugoda w sprawie o podział majątku o wartości ponad 800 000 zł, co na tle innych tego typu spraw jest wartością znaczną. Strony tego postępowania prowadziły działalność gospodarczą w formie dwóch spółek z ograniczoną odpowiedzialnością oraz dwóch przedsiębiorstw zarejestrowanych na osoby fizyczne. Jednocześnie ich zadłużenia wobec licznych wierzycieli wynosiły ponad 100 000 zł. W wyniku mediacji podzielili nie tylko swój majątek, ale również porozumieli się w kwestii zadłużenia alimentacyjnego, oraz spłaty długów wobec wierzycieli.

Mieliśmy już pierwszy przypadek mediacji umownej, która zakończyła się podpisaniem ugody. Poprzedziła ją nasza oddolna działalność w zakresie popularyzacji tej metody wśród stron. Dlatego też w gablocie przed naszym sekretariatem umieściliśmy informację, czym jest mediacja oraz udostępniliśmy listę stałych mediatorów sądowych i wydrukowaliśmy ulotki informacyjne.

Nie było przypadków, aby sąd musiał odmówić zatwierdzenia ugody zawartej przed mediatorem. Pragnę wspomnieć w tym miejscu o dobrym zwyczaju, który rozwinął się w naszym wydziale, a polegającym na tym, że przed podpisaniem ugody przez strony mediator konsultuje jej treść z sędzią pod kontem prawidłowości, aby potem nie było problemów z jej zatwierdzeniem. Jeśli chodzi o kwestię poufności mediacji należy podkreślić, że dysponentami tej zasady są strony i jeśli wyrażają zgodę, aby mediator skonsultował ugodę z sędzią, nie ma w tym zakresie przeszkód. Oczywiście taka praktyka zależy od relacji sędziego z mediatorem, jednakże wzajemna życzliwość i współpraca z pewnością zaprocentują.

W 2007 r. zauważyliśmy niestety niepokojące zjawisko, iż strony częściej zaczęły odmawiać udziału w mediacji, motywując to brakiem wiary w ugodowe rozwiązanie sporu oraz obawą przed dodatkowymi kosztami. Zaznaczam, że w przypadku podziału majątku i działu spadku, w skład których wchodzą przeważnie nieruchomości wynagrodzenie mediatora (nie licząc wydatków) wynosi 1000 zł. Od początku tego roku na mediację w naszym wydziale strony zgodziły się zaledwie w ośmiu sprawach. Z kolei na osiem spraw skierowanych przeze mnie w tym roku do mediacji, tylko w dwóch strony wyraziły zgodę na przystąpienie do niej. Być może na takie nastawienie stron wpływ mają stwierdzenia pojawiające się w mediach, że „mediacja nie sprawdziła się". Ponadto w sprawach, w których strony korzystają z pomocy profesjonalnego pełnomocnika adwokaci i radcowie prawni odradzają klientom przystąpienie do mediacji, często dlatego, że postrzegają mediatora jako konkurencję dla swojej działalności.

Dostrzegając potrzebę rozwoju mediacji Prezes Sądu Okręgowego w Szczecinie w grudniu 2006 r. powołał mnie na stanowisko Koordynatora ds. mediacji. W zakresie obowiązków, których się podjęłam znalazło się prowadzenie rozmów z kandydatami na mediatorów w sprawach karnych i nieletnich, weryfikacja mediatorów oraz szeroko pojmowana promocja mediacji wśród sędziów i stron.

W pierwszej kolejności zajęłam się rozwojem mediacji w okręgu naszego sądu. Dużym utrudnieniem był fakt, że wykazy Med., w których odnotowuje się sprawy kierowane do mediacji zostały nieprawidłowo zredagowane. Nie wynika z nich, w jakim procencie spraw strony wyraziły zgodę na przystąpienie do mediacji. Takie rozwiązanie powoduje zafałszowanie statystyk dotyczącej skuteczności mediacji.

Jeśli chodzi o rozmowy z kandydatami na mediatorów karnych i ds. nieletnich skutek był taki, że od początku roku wykreślono kilku najsłabiej wykwalifikowanych mediatorów, a na ich miejsce wpisano nowe osoby, wszystkie po specjalistycznym przeszkoleniu. Takich uprawnień sąd nie ma w stosunku do mediatorów w sprawach cywilnych, gdyż ustawodawca stanął niestety na stanowisku, że mediatorem może być niemal każdy bez względu na wykształcenie i predyspozycje. W mojej ocenie bezwzględnie należałoby zweryfikować ten pogląd, przynajmniej, jeśli chodzi o osoby wpisane na listy stałych mediatorów w sprawach cywilnych. Strony kierowane przez sąd do mediacji utożsamiają osobę mediatora z sądem, oczekują, że będzie to osoba kompetentna i fachowa.

Przekazanie prowadzenia list organizacjom społecznym i zawodowym spowodowało, że do Oddziału Administracyjnego Sądu Okręgowego spływać zaczęły z całej Polski listy mediatorów. Między innymi otrzymaliśmy listy osób zamieszkujących w odległych regionach kraju, niezbyt przydatne z praktycznego punktu widzenia. Cztery stowarzyszenia złożyły listy mediatorów zamieszkujących na naszym terenie, zawierające ponad 60 nazwisk. Trzy z tych stowarzyszeń na szeroką skalę prowadzą szkolenia mediatorów. Przy takim postępie ilościowym liczba mediatorów będzie w kolejnych miesiącach wzrastać.

Uporządkowaliśmy otrzymane informacje, poprzez przepisanie na jedną listę danych mediatorów zamieszkujących w okręgu naszego sądu oraz działających na naszym terenie ośrodków mediacyjnych i dopiero w takim kształcie przesłaliśmy ją do podległych sądów. Listy dostępne są więc dla sędziów i urzędników sądowych oraz dla stron w sekretariatach sądu, zaś w najbliższym czasie opublikowane zostaną na stronie internetowej Sądu Okręgowego w Szczecinie (www.szczecin.so.gov.pl). Wcześniej zwróciliśmy się do wszystkich mediatorów stałych z propozycją, aby nadesłali oferty zawierające dane

SSR Liliana Jędrzejewska – Szczecin, SSR Rafał Cebula – Będzin.

o swoim wykształceniu, ukończonych szkoleniach mediacyjnych i zdobytym w tej dziedzinie doświadczeniu, a także o miejscu i formie prowadzonej działalności. Spośród sześćdziesięciu mediatorów na taką formę promocji zdecydowało się tylko dwudziestu. Oferty te dołączyliśmy do list oraz zamieścimy je niebawem na stronie internetowej. Na stronie tej powstał już obszerny dział dotyczący mediacji, w którym znalazły się informacje dla osób chcących skorzystać z mediacji, dla kandydatów na mediatorów oraz dla stałych mediatorów sądowych. W ciągu trzech tygodni w dziale tym mieliśmy już ponad 500 odwiedzin, co oznacza, że jest rzeczą potrzebną.

W ramach mediacji planujemy też wyposażenie wszystkich sądów w naszym okręgu w tzw. gabloty mediacyjne, w których znajdą się materiały promujące mediację. Liczymy jednak na inicjatywę Ministerstwa Sprawiedliwości, w publikacji takich materiałów, oraz ulotek dla stron, chcemy bowiem, żeby były to opracowania w pełni profesjonalne i odpowiadające potrzebom sądów.

Bardzo pilną kwestią na obecnym etapie jest przeszkolenie sędziów oraz urzędników sądowych z zakresu mediacji, tak aby sędziowie potrafili z tej instytucji skorzystać, pozbyli się obaw związanych z jej nowością, zaś urzędnicy potrafili udzielać stronom koniecznych informacji. Takie kroki zostały już w naszym sądzie podjęte. W maju we współpracy z mediatorem będę prowadziła trzygodzinne szkolenie dla sędziów – cywilistów, zaś jesienią planowane są szkolenia dla sędziów rodzinnych, gospodarczych oraz karnistów. Ponadto w niektórych wydziałach (w tym w III Cywilnym) z oddolnej inicjatywy odbyły się spotkania z mediatorem dla sędziów i urzędników, na temat mediacji, jak przebiega, na czym polega i czym różni się od postępowania przed sądem.

Jak pokazuje praktyka najskuteczniejszą formą promocji mediacji wśród sędziów są jednak zwykłe rozmowy pomiędzy nimi. Jeśli jeden sędzia wskutek ugody zawartej w toku mediacji umorzy postępowanie sądowe, zachęci tym samym swoich kolegów. Regułą jest, że sędziowie są nadmiernie obciążeni pracą i perspektywa zawarcia ugody przynajmniej w części spraw jest dla nich bardzo atrakcyjna.

Mimo naszych starań mediacja napotyka jednak na wiele przeszkód i trudności, o których chcę teraz powiedzieć mając świadomość, że wśród Państwa są osoby mające wpływ na inicjatywy ustawodawcze.

Przede wszystkim mediator ma gorszą pozycję od biegłego sądowego, jeśli chodzi o wgląd do akt, a oba te zawody są porównywalne. Skoro strony zgadzają się na mediację, automatycznie winno to oznaczać, że mediator ma prawo wglądu do akt. Należałoby również umieścić w regulaminie przepis umożliwiający mediatorowi wypożyczenie z sądu akt sprawy (analogicznie jak biegłemu), gdyż podczas postępowania mediacyjnego stanowią one jego narzędzie pracy. Strony często nie są w stanie prawidłowo przekazać, czego dotyczy sprawa. Art. 183 9 k.p.c. stanowi, że na zgodny wniosek stron sąd może upoważnić mediatora do zapoznania się z aktami sprawy. Przy założeniu, że mediacja trwa miesiąc, mediator najpierw miałby wyznaczyć posiedzenie mediacyjne, (nie znając akt!) na nim poprosić strony, żeby wniosły o upoważnienie mediatora do zapoznania się z aktami, następnie Sąd wydałby postanowienie dotyczące upoważnienia, a co z zakreślonym terminem jednego miesiąca?

Uważam nadto, że powinny być ostrzejsze kryteria, w przedmiocie kwalifikacji mediatora, gdyż na listach figurują osoby bez stosownego przeszkolenia i trudno im się dziwić, gdy po prostu odmawiają prowadzenia mediacji w sprawie trudnej. Celem mediacji jest zawarcie ugody, równoważnej z ugodą sądową. Jeśli chodzi o konstruowanie ugód w sprawach cywilnych, są one obiektywnie trudne. Receptą na to w obowiązującym stanie prawnym jest tylko bardzo intensywne szkolenie mediatorów i otwartość sędziów na współpracę z nimi.

Przepisy ustawy o kosztach w sprawach cywilnych wyraźnie wskazują, że koszty mediacji nie stanowią wydatków. W konsekwencji sąd nie ma możliwości zwalniania stron od kosztów mediacji, tak aby w ich zastępstwie ponosił je Skarb Państwa. Stanowi to poważną przeszkodę w dostępie do mediacji osób ubogich. Zaznaczam, że nagłe zubożenie następuje m.in. w wyniku rozwodu, a przedmiotem podziału majątku bywa często jedynie skromne mieszkanie. Oszczędności Skarbu Państwa są tu pozorne, bo zamiast za mediację zapłaci on za koszty opinii biegłego i wielomiesięczne postępowanie przed sądem. Najlepiej byłoby, żeby były to zasady identyczne jak przy wynagradzaniu biegłych.

Art. 183 10 paragraf 1 k.p.c. stanowi, że sąd wyznacza czas trwania mediacji na okres do miesiąca. W mojej ocenie jest to stanowczo zbyt krótki okres, gdyż korespondencja pomiędzy mediatorem a strona-

mi (gdy nie dysponuje on numerami telefonów stron) będzie trwała tyle samo co między sądem a stronami (jedno doręczenie – trzy tygodnie).

Następne wątpliwości, wzbudza brzmienie art. 183 15 k.p.c. § 1, który stanowi, że ugoda zawarta przed mediatorem ma po jej zatwierdzeniu przez sąd moc prawną ugody zawartej przed sądem. Z kolei § 2 stanowi, że przepis § 1 nie uchybia przepisom o szczególnej formie czynności prawnej. W mojej ocenie brzmienie przepisu jest wewnętrznie sprzeczne. Rezultat jest taki, że nie można przed mediatorem dokonać podziału majątku czy działu spadku, w skład którego wchodzi nieruchomość. W praktyce, w sprawach takich ugody wynegocjowane przed mediatorem, spisywane są w naszym sądzie w formie ugód sądowych.

Reasumując w obecnej chwili niezbędne jest:
• kompleksowe szkolenie sędziów, tak aby umieli z mediacji skorzystać,
• szkolenie adwokatów i radców prawnych, aby nie postrzegali mediacji jako konkurencji, lecz jako jeden ze sposobów zakończenia sporu pomiędzy stronami,
• promocja mediacji wśród społeczeństwa poprzez media, akcję informacyjną prowadzoną przez Ministerstwo Sprawiedliwości, oraz inicjatywy oddolne. Na promocję mediacji należałoby przeznaczyć znaczne środki pieniężne, co w krótkim czasie przyczyniłoby się z kolei do oszczędności budżetowych.

Mimo tych dylematów, uważam, że wprowadzenie do systemu polskiego prawa cywilnego instytucji mediacji daje nam nadzieję na częściowe odciążenie sądów, a nadto jest korzystne dla stron. W mojej ocenie mediacja będzie w coraz większym stopniu odgrywać istotną rolę jako dopełnienie wymiaru sprawiedliwości. [ ]

Liliana Jędrzejewska – Sędzia Sądu Rejonowego w Szczecinie, Wydział III Cywilny, Koordynator ds. mediacji w okręgu Sądu Okręgowego w Szczecinie

Suicidium

Suicidium – łac., *suicide* – fr., *suicide* – ang.: samobójstwo – to działanie, w którym człowiek dąży do odebrania sobie życia. Zadanie sobie śmierci nie jest przypadkowe ale zamierzone czyli takie, w którym godzący w swoje życie jest rzeczywistym sprawcą własnej śmierci. Św. Paweł pisał, że nikt z nas nie żyje dla siebie, w życiu i w śmierci należymy do Stwórcy. Mówił, że samobójstwo, poprzez które człowiek czyni się panem własnego życia – stoi w jaskrawej sprzeczności z istotą życia. Św. Augustyn twierdził, że piąte przykazanie mówiąc "nie zabijaj" nie precyzuje, kogo ono dotyczy, nikt nie jest więc z niego wyłączony. "Kto zabija siebie, zabija człowieka" ("De civitate Dei", PL 61,35).

Stoicyzm, jeden z prądów starożytnej filozofii pochwalał samobójstwo. Seneka i Marek Aureliusz uznawali samobójstwo za godziwe i dopuszczalne. Ocena ta wróciła w wypowiedziach niektórych nowożytnych myślicieli. Gloryfikowano samobójców, przypisywano im rangę bohaterów. Samobójstwo usprawiedliwiał wybitny polski przedstawiciel pozamarksistowskiej etyki – prof. Tadeusz Kotarbiński.

W próbach udzielenia odpowiedzi na pytanie, dlaczego ludzie odbierają sobie życie, wysuwano dwie pozornie przeciwwstawne tezy. Otóż, że samobójstwo jest przejawem patologii społecznej lub, że wiąże się z patologią jednostki. Durkheim (1878) wyodrębniał samobójstwo altruistyczne tj. odebranie sobie życia dla dobra społeczeństwa (np. kamikadze), egoistyczne – w sytuacjach skłócenia jednostki ze społeczeństwem i anomiczne tj. w nagłych sytuacjach kryzysowych. Badacz problemu samobójstw – Ringel w 1969 r. przedstawił cechy, pojawiające się u osób z wysokim ryzykiem samobójstwa. A więc osłabienie licznych funkcji psychicznych, zawężenie ich do przeżywania lęku, niepokoju, poczucia zagrożenia, utrzymywanie się przekonań o mniejszej wartości, poczucie niewydolności z postawą rezygnacyjną, kierowanie agresji przeciwko sobie, ucieczka od rzeczywistości do rozważań o samobójstwie jako sposobie wyjścia z trudnej sytuacji.

Jan Paweł II zaliczał samobójstwo do czynów wewnętrznie złych *("intrinsece malum")*. Uczył, że człowiek jest tylko zarządcą a nie właścicielem swojego życia. Dlatego potępiał eutanazję i samobójstwo. Pisał, że samobójstwo nie jest wyłącznie sprawą człowieka godzącego we własne życie. Obciąża ono również innych, środowisko, społeczeństwo. I szukał uwarunkowań psychologicznych, kulturowych, społecznych, skłaniających do popełnienia czynu tak sprzecznego z wrodzoną cechą każdego człowieka do zachowania życia.

Kryzys podstawowych wspólnot społecznych, zanik kontaktów międzyludzkich, postępująca izolacja jednostki sprawia, że jest ona pozostawiona sama sobie i zmuszona samotnie stawić czoła problemom. Człowiek łatwo ulega uczuciu przygniecenia przez ciężar egzystencji. Wówczas odebranie sobie życia wydaje się jedyną drogą wyjścia. Dlatego samobójstwo jako zjawisko społeczne wymaga działań dla stworzenia warunków, w których każdy człowiek czułby się akceptowany i wspomagany.

Samobójstwo to problem psychologiczno – psychiatryczny. Identyfikacja pacjentów potencjalnie zagrożonych samobójstwem to jedno z najtrudniejszych zadań psychiatry.

W Polsce rocznie samobójstwo popełnia ok. 5800 osób, w USA około 35.000 osób. Mężczyźni czynią to trzykrotnie częściej niż kobiety, głównie stosując metody gwałtowne, takie jak broń palna, rzucenie się z wysokości, pod koła pojazdu, powieszenie, utopienie. Wskaźniki samobójstw wzrastają z wiekiem. Wśród mężczyzn – po 45 roku życia, u kobiet – po 65 roku życia. Najwyższy wskaźnik samobójstw jest wśrod protestantów, najniższy – wśród katolików, Żydów i Muzułmanów. Osoby samotne, rozwiedzione lub po stracie współmałżonka częściej odbierają sobie życie.

Choroba somatyczna, konieczność leczenia chirurgicznego jest czynnikiem zwiększającym ryzyko samobójstwa, szczególnie jeżeli jest to choroba przewlekła, terminalna lub przebiegająca z długotrwałym bólem.

Wśród osób popełniających samobójstwo blisko 50% to osoby z zaburzeniami psychicznymi. Samobójstwo popełnia 15% pacjentów z depresją. Wśród chorych na schizofrenię z objawami wytwórczymi (omamy, urojenia) 10% popełnia samobójstwo. Ryzyko samobójstwa zwiększają zaburzenia spowodowane używaniem substancji psychoaktywnych, np. alkoholu, a także zmiany otępienne, stany lękowe, zaburzenia obsesyjno – kompulsyjne. Czynniki ryzyka to bezrobocie, nikła szansa na uratowanie, gromadzenie leków, posiadanie broni, samobójstwa w rodzinie, fantazje o połączeniu się z ukochaną zmarłą osobą.

Zaburzenia depresyjne, kiedyś zwane dużą, endogenną depresją *(major depression – ang.),* obecnie F–32 wg ICD–10 tj. zaburzenia pozbawione obiektywnych, racjonalnych przyczyn – szczególnie inspirują osoby dotknięte nimi do udanych zamachów samobójczych. Towarzyszy im duży poziom lęku, zaburzenia snu, poczucie beznadziejności, sytuacji bez wyjścia, przekonanie o nieuleczalności, obecności ciężkich chorób, urojenia nicości czyli nihilistyczne (jestem nikim, moje ciało rozpada się, gnije, przestałem oddychać, jestem robakiem, którego należy wdeptać w ziemię, umarłem itd.). Nadto poczucie winy za bliżej nieokreślone czyny, przekonanie o dopuszczeniu się ciężkich grzechów, przestępstw, dążenie do poniesienia kary, nastrój dysforyczny, poczucie osamotnienia a przede wszystkim potrzeba ukarania siebie, uwolnienia świata od swojej złej osoby – powodują odbieranie sobie życia. Osoby takie uważają bowiem, że na nic lepszego nie zasłużyły i muszą ludzkość uwolnić od swojej nikczemnej postaci. Odbierają sobie życie w sposób perfekcyjnie skuteczny, tygodniami planując sposób pożegnania się ze światem, studiując podręczniki fizyczne, chemiczne, farmakologiczne. Czynią to tak, aby nikomu nie dać szansy w próbie ratowania ich. Twierdzą, że jedyną myślą, która utrzymuje ich przy życiu to myśl, że mogą sobie odebrać życie. I odbierają. W domu, w pracy, w garażu, na spacerze z psem, w szpitalu psychiatrycznym, w samo południe, w obecności personelu lekarskiego, pielęgniarskiego, sanitariuszek, studentów. Wykorzystują moment nieuwagi wszystkich i realizują konsekwentnie to, co zamierzyli. Dla "zmylenia przeciwnika" demonstrują dobry nastrój, przeczą myślom samobójczym czyli dyssymulują, prezentują sobą tzw. śmiejącą się melancholię. I z uśmiechem na ustach mówiąc, że życie jest piękne – odbierają sobie życie. Tak funkcjonują osoby z prawdziwymi, endogennymi, psychotycznymi, niczym nie uzasadnionymi zespołami depresyjnymi. Ludzie ci bywają nierzadko majętni, zdrowi cieleśnie, bez istotnych problemów życiowych, zorganizowani. Ale nieszczęśliwi, gardzący sobą, deprecjonujący wszystko, co osiągnęli, potępiający siebie w czambuł i pragnący odejścia. Joseph Conrad Korzeniowski nie miał powodów, aby mówić o sobie, że jest najgorszym śmieciem na dnie największego śmietniska świata. Podobnie Majakowski, Ernest Hemingway, Jerzy Kosiński. A tak czuli. Takie depresje są najbardziej niebezpieczne. Nierzadko jeszcze kończące się tzw. samobójstwem rozszerzonym. Wówczas mając przekonanie o bezsensie życia i swojej egzystencji, aby przed tym wszystkim uchronić najbliższych – odbiera się życie dzieciom, żonie, rodzicom a potem sobie.

Samobójstwo towarzyszy także depresjom, kiedyś zwanym psychogennymi, reaktywnymi, czyli wynikającymi z obiektywnych przyczyn pojawiających się z zewnątrz. Dotyczy to także osób, które z racji wykształcenia, zawodu, pełnionych funkcji osiągnęły wysoki pułap w hierarchii społecznej. Bo władza demoralizuje. Posiadając ją poszerzamy swój zakres kompetencji, przywilejów, korzystamy z dóbr wszelakich. Z czasem puszczamy to w niepamięć lub uważamy, że nasze ówczesne czyny, decyzje korespondowały z zajmowanym wówczas stanowiskiem. Lata mijają, rządy się zmieniają, nasze przywileje, status społeczny ulega zminimalizowaniu. Już nie pełnimy odpowiedzialnych funkcji. A nawet pozostajemy w pewnej opozycji do tych, którzy przyszli po nas. I uzmysławiamy sobie, że nie wszystko, co w okresie naszej prosperity czyniliśmy, było słuszne. Być może nadal uważamy, że nasze decyzje były właściwe a wszystko to, co teraz – jest naganne. Buntujemy się, uciekamy w wewnętrzną emigrację, przestajemy utrzymywać kontakty ze znajomymi, dyskretnie pozbywamy się przedmiotów luksusu sprzed lat, aby nie drażnić otoczenia i aktualnie rządzących, nadrabiamy zaległości rodzinne, gdzieś w środku jednak cierpimy i odczuwamy niepokój. Widząc, z jakim zapałem nasi następcy "depczą nam" po piętach chcąc udowodnić, że nie wszystko co czyniliśmy w okresie sukcesu, było zgodne z prawem – zaczynamy reagować agresją, złością i przyrzekać sobie, że nie pozwolimy, aby uczyniono z nas publiczny spektakl. Mając poczucie skrzywdzenia, zniweczenia naszej wieloletniej pracy – reagujemy obniżonym nastrojem, płaczliwością, brakiem apetytu, bezsennością, uzmysławiamy sobie, że możemy znaleźć się w sytuacji bez wyjścia. Nie chcąc narażać siebie na show z nami w roli głównej, czując, że w myśl aktualnie panujących poglądów – nasze uprzednie poczynania mogą spotkać się z potępieniem, przygotowujemy sobie tzw. wyjście z sytuacji. Wyjście ekstremalne i jednak egoistyczne. Ale przyszedł czas, kiedy myślimy wyłącznie o sobie. Atmosferę podgrzewają "życzliwi" donosząc nam, abyśmy mieli się na baczności, że jesteśmy w orbicie zainteresowań, że po nas przyjdą itd. Żyjemy w lęku, niepokoju, niepewności, izolujemy się, śledzimy doniesienia medialne odnośnie innych osób, obawiamy się, że podobny los stanie się naszym udziałem. Nie godząc się na rolę ofiary, na odbrązowienie naszej postaci, w momencie krytycznym czynimy to, o czym myśleliśmy od pewnego czasu. Ponieważ jedynym rozwiązaniem było dla nas odebranie sobie życia, przygotowując się do tego czynimy to.

Chińskie przysłowie mówi, że sprawiedliwość ma siedzibę w ludzkim sercu. Arystoteles w swojej "Polityce", że sądzenie zależy od tego, kto to robi, kogo sądzi i dlaczego sądzi.

Zmieniają się rządy, ugrupowania, waga czynów. Przyjdą rządy nowe, w ocenie których – być może – nie uczyniliśmy nic na tyle złego, aby odbierać sobie życie. Ale nas już nie będzie. Bo drugiego życia, jak w grach komputerowych – nie otrzymamy. A do problemów w tym pierwszym i jedynym życiu – być może – podeszliśmy z nadmiernie dużym poczuciem winy, zbyt ambicjonalnie, może zbyt serio. Jutro będzie nowy dzień i to, co dzisiaj jest sytuacją z wyjściem ekstremalnym, jutro takim być nie musi. [ ]

dr n. med. Ewa Kramarz,
specjalista psychiatra, biegła sądowa

Strahlhorn

- 4190 metrów

Szwajcaria, niedaleko Saas Fee, schronisko Britannia, 3030 metrów nad poziomem morza, poniedziałek 28 sierpnia 2006 r.

Wstajemy dość wcześnie, przed 4.00 nad ranem. Prócz nas, kilka innych osób krząta się w stołówce schroniska. To wskazuje, iż nie tylko my planujemy ambitną wyprawę.

Do godziny 5.00 jesteśmy gotowi. Ciepło ubrani, wyekwipowani, z herbatą w żołądku i w termosie. Można ruszać.

W pamięci tkwi nam podawany w angielskim przewodniku czas przejścia trasy – ok. 5 godzin do szczytu i z powrotem tą samą drogą – do 3 godzin. Optymistycznie zatem można zakładać, że wrócimy około 13.00 - 14.00. Z przewodnikiem mamy jednak trochę na pieńku – przedwczoraj roztoczył przed nami wizję spacerku na szczyt Allalinhorn na ledwie 6-7 godzin, a skończyło się na prawie 12 godzinach. Realistycznie oceniając nasze możliwości, dokładamy do naszego planu dodatkowe 3 godziny.

Wychodząc ze schroniska o tej porze trudno powiedzieć, czy dzień będzie ładny. Jest jeszcze ciemno. Na czarnym niebie blade gwiazdy, księżyc gdzieś się schował za chmurami. Prognoza na dzisiaj: rano ładnie, po południu pogorszenie pogody. Nie lubię w górach „pogorszenia" pogody. W mieście słowo to ma inny sens. Usłyszane - wpada jednym uchem, wypada drugim. W górach nabiera innej wagi, czuć jego znaczenie. Stojąc na czterech tysiącach metrów wolę nie sprawdzać, co siedzi w chmurach i co one z sobą niosą. Mały wiaterek? A może przenikliwy chłód, albo, co gorsza, zadymkę śnieżną?

Rano ma być ładnie. Trzeba więc jak najszybciej zasuwać do góry. Początkowo na głowach mamy czołówki – naprawdę użyteczny wynalazek. Przynajmniej wiadomo, gdzie stawia się kroki. I tak przez lodowiec Hohlaub. Postanawiamy nie wiązać się liną. Szczeliny są widoczne z daleka. Ale i tak niebezpieczne. Pamiętam z poprzedniego roku, jak wpadłem do szczeliny w masywie Mont Blanc du Tacul. Wszystko trwało krótką chwilę. Przechodząc przez nią zrobiłem błąd, bo zamiast się czołgać, szedłem po moście śnieżnym na czworaka. Przez to nadmiernie zwiększałem obciążenie tego kruchego połączenia obydwu stabilnych części lodowca. Gdy byłem na środku przejścia, most nie wytrzymał i poleciałem głową w dół. Szczelina była na szczęście dość wąska, choć dna nie mogłem dostrzec. Ratujący mnie koledzy - ci sami, z którymi maszeruję dzisiaj - wspominali co prawda, że dłużej do niej wpadałem niż wyskakiwałem z powrotem na powierzchnię, ale strachu się najadłem. Sam zresztą nie pamiętam, jak udało mi się wydostać.

Naszym celem jest wierzchołek Strahlhorn, niecałe 4200 metrów. Kilka minut przed nami ruszyła para Niemców idących na sąsiedni Rimpfischhorn. Jako że ich trasa pokrywa się początkowo z naszą, staramy się nie tracić kontaktu z dwoma jasnymi punkcikami przed nami. Mimo to labirynt szczelin powoduje, iż już na starcie tracimy cenny czas, klucząc w poszukiwaniu właściwej drogi. Po godzinie takiej wędrówki docieramy do

nasze schronisko Britannia

skał masywu Allalinhornu. Tutaj czeka nas krótka, intensywna wspinaczka na grań Hohlaub. Przechodząc przez kolejne śliskie głazy, kamienie i kamyczki, moja tęsknota do w miarę prostej powierzchni lodowca rośnie.

Krótkie odpoczynki są w takich sytuacjach oczywistością. Szczególnie gdy dochodzi do tego potrzeba fizjologiczna, na dodatek tej większej wagi. Szczęśliwie tym razem nie dotyczy to mnie. Grzesiek zrzuca plecak i po chwili znika za kupą głazów. Pomyślałem w tym momencie, że kilkanaście metrów ode mnie dochodzi do walki człowieka z naturą. Przecież rozporek w spodniach jest tylko z przodu! Nasze górskie spodnie mają wszyte szelki i nie można ich, tak po prostu, zsunąć. Wcześniej trzeba ściągnąć kurtkę i polar. Dopiero wtedy szelki idą bez problemów w dół, a wraz z nimi spodnie i w końcu ciepłe kalesony. Na „zewnątrz" kilka stopni mrozu, ręce bez rękawiczek kostnieją. Czasu więc nie ma zbyt wiele.

Zdążyliśmy coś przekąsić i napić się herbaty – a kolegi nie widać. Czas nieustannie płynie. W końcu jest, pojawia się zza wielkiego głazu, wyraźnie zziębnięty.

Choć wzrok przywykł do ciemności, czekamy na pierwsze oznaki poranka. W międzyczasie wchodzimy na lodowiec Allalin. Po lewej stronie robi się coraz jaśniej. Nagle śnieg zaczyna nabierać kolorów - dla mnie niespotykanych. Coraz bardziej wyraźny masyw Strahlhornu ewidentnie robi się różowy, my zaś idziemy po bezmiarze lodu, który, postrzępiony, na skutek wiejących tutaj wiatrów, przypomina lekko wzburzone morze. W końcu pojawia się malutki rąbek słońca. I wszystko momentalnie wraca do normy. Śnieg znów jest biały. Spektakl światła i śniegu trwa ledwie kilka minut. Przy okazji dostaje mi się od moich kompanów, bo w tym czasie nie zrobiłem zdjęć.

Ciągle naprzód. Cel podróży doskonale widoczny. Najpierw jednak trzeba dotrzeć do przełęczy Adler.

w drodze

Gładko posuwamy się zygzakiem do góry. Wiążemy się liną i zakładamy raki dopiero na wysokości urwisk Rimpfischhornu. Wejście na Adlerpass, mimo że wydaje się być bułką z masłem, jest żmudne. Daje o sobie znać wysokość. Wyraźny problem ma z nią kolega. Przypomniało mi się przedwczorajsze wejście na Allalinhorn. Byliśmy wtedy drugi dzień w wysokich górach. Wejście z 3.000 na 4.000 metrów. Raptem tysiąc metrów przewyższenia. Początek mieliśmy dobry – lodowiec przebrnięty niczym Krupówki w Zakopanem. Potem grań Hohlaub. Mijaliśmy kolejne strome progi. W pobliżu kopuły szczytowej jeden trudny moment. Kilkanaście metrów w górę rysą z niezbyt pewnie wyglądającymi chwytami. Na szczycie, wiadomo, radość z pokonania Góry i piękne widoki. Byliśmy tam może pół godziny. W tym czasie doznałem też innych, mniej przyjemnych, wrażeń. Poczułem jak uchodzi ze mnie energia, tak jak z opony powietrze. Tak jakby ktoś zmniejszył mi dopływ tlenu o połowę. W głowie zaczęło mi trochę szumieć. Poczułem niewyraźny ból. Bałem się, że zacznie mi się kręcić w głowie. I to na szczycie. Ruszyliśmy więc szybko w dół. Dobrze, że trasa powrotna była banalnie prosta i w krótkim czasie byliśmy tysiąc metrów niżej. To pomogło. Moje zawory z tlenem wróciły do pozycji: pełna przepustowość.

Tymczasem pogoda zaczyna się pogarszać. Słońce gdzieś zniknęło za chmurami, które w szybkim tempie przetaczają się teraz przez pobliską już przełęcz. Gdy docieramy w końcu na Adlerpass, naszym oczom ukazuje się panorama położonych po południowej stronie wierzchołków Alp, w tym masywu Monte Rosa. Część z nich jest już przykryta chmurami, nacierającymi z impetem z zachodu. W zasadzie powinniśmy się wycofać. Nie wiadomo, co przyniesie widoczne „pogorszenie" pogody. Sam jednak obstawiam, że w najgorszym razie będziemy pokonywać ostatni godzinny odcinek do szczytu w dość porywistym wietrze, przy zmiennym zachmurzeniu. Jarek chyba myśli podobnie – a ma nieporównywalnie większe górskie doświadczenie ode mnie - bo prawie nie zatrzymując się rusza do góry. Nie zastanawiam się, idę za nim. Grzesiek postanawia natomiast zostać z grupą Czechów, którzy w tym czasie zdążyli nas dogonić. Grupa pościgowa wygląda dość nietypowo. Dość powiedzieć, że jedna Czeszka zamiast grubych rękawiczek, ma na rękach... skarpetki. Wszyscy oni zostają pod przełęczą i po pewnym czasie, o czym dowiedzieliśmy się już później, nie mogąc się nas doczekać, zaczęli schodzić w dół.

Na przełęczy i dalej na grani prowadzącej na szczyt zdrowo wieje – my jednak jesteśmy w miarę zadowoleni. Jest naprawdę blisko, a przed nami szlak przetarła para młodych Szwajcarów. Nic prostszego niż maszerować po śladach innych.

Ile do szczytu? Góra pół godzinki. Dzięki. Do zobaczenia – mijamy powracających już z wierzchołka Szwajcarów. Z „pół godzinki" robią się trzy kwadranse, ale w końcu docieramy. Jest 11.30. Stojący na szczycie stalowy krzyż potwierdza kres wspinaczki.

Taki krzyż można z radości dotknąć, a nawet objąć, ale lepiej nie całować, bo wargi mogą się przykleić na dłużej.

Wokoło nas robi się nieciekawie. Mocno wieje, od dłuższego czasu zacina też drobny, ale gęsty śnieg. Przez szczyt przetacza się wielka, nie mająca końca, chmura. Nie wiem nawet, jak to precyzyjnie nazwać. Mała zadymka, chmura ze śniegiem? Tak czy inaczej niewiele widzimy. To znaczy, ja widzę Jarka, a Jarek widzi mnie. Obaj też widzimy krzyż.

Skoro weszliśmy na szczyt, to teraz trzeba zejść. Podobno wypadków w górach jest znacznie więcej przy zejściach, niż w trakcie wejść. Niewykluczone, że szybko potwierdzimy tę tezę.

Ruszamy w dół. Jarek pierwszy, za nim lina, a za nią ja.

Wiemy, że kluczową sprawą jest dotarcie do Adlerpass. Najbliższy odcinek nie jest bowiem osłonięty i wiatr, który dusi się w niższych partiach południowej ściany góry, tutaj na grani swawoli do woli. Do tego ten zacinający śnieg i brak widoczności.

Jarek, idziemy po śladach? Jarek, widzisz ślady? Czasami słyszy moje pytania. Zwykle nie odpowiada. Brnie w kopnym, przybywającym szybko śniegu, nie widząc prawie nic. Jestem w lepszej sytuacji. Jednak coś widzę. Zwykle jest to kawałek ciągnącej się między nami liny, a czasami plecy Jarka. Idziemy w odległości kilku metrów od siebie.

Trzeba jak najszybciej stąd wiać. A jednocześnie, nie można się śpieszyć. Obok, gdzieś po lewej stronie, są szczeliny, a dalej eksponowana grań zakończona urwiskiem. Po prawej, stok – jak pamiętamy - gwałtownie opada. Tam też jest niebezpiecznie. Masa wielkich poprzecznych szczelin nie daje większych nadziei na przeżycie. Dlatego ważną sprawą jest wsłuchiwanie się w wiatr. Wiemy, że tuż przed Adlerpass wychodzi się na wąską grań – na niej wiatr winien nas ostro smagać. Gdy więc wiatr zaczyna słabnąć, stwierdzamy, że za bardzo skręciliśmy na prawo. Potwierdza to dodatkowo fakt, iż raptownie tracimy wysokość. Nie tędy droga. A zatem z powrotem pod górę. Jedną nogą zapadamy się po udo w śnieżny puch, drugą nogą już tylko po kolano, wiatr się wzmaga, jest lepiej.

Nie potrafię powiedzieć jak długo idziemy ten w sumie dość krótki odcinek do przełęczy Adler. Mam co prawda zegarek, ale moje okulary (korekcyjne i przeciwsłoneczne) najpierw kompletnie zaparowały, a następnie pokryły się momentalnie warstwą lodu. Nie chcę przy nich grzebać, bo boję się, że jak ściągnę dwie pary rękawiczek, to ich już nie założę. Do tego czasu mogą mi skostnieć ręce. Wątpliwa przyjemność.

Wiatr dalej przybiera na sile. Po lewej widzimy w końcu kamienie i urwisko opadające kilkusetmetrową ścianą w dół. Jesteśmy blisko. Rzeczywiście w krótkim czasie docieramy do upragnionej przełęczy i po kilku dalszych krokach po północnej stronie, będąc już na łagodnym zejściu, czujemy wielką ulgę. Pokonaliśmy Górę. Wiatr, odgrodzony znajdującą się powyżej nas przełęczą, gwałtownie słabnie. Mogę w końcu poprawić sobie widoczność.

Stamtąd już wyraźnym śladem ruszamy szybko w dół lodowca. Początkowo idzie się dobrze. Później jednak gubimy ślady. Jednocześnie za bardzo zbliżamy się do ścian Rimpfischhornu, bo wchodzimy na skomplikowany system szczelin. Dodatkowym utrudnieniem jest cienka warstwa świeżego śniegu uniemożliwiająca precyzyjną ocenę podłoża. Trudno odróżnić stary śnieg, ledwie przykrywający szczelinę, od lodowca, pokrytego twardym i bezpiecznym firnem. Pozostało wymacywanie drogi kijkiem bez krążka – Jarek rozpoznaje właściwości terenu po odgłosie kijka i tym czy się zapada czy też nie. Stuk oznacza lodowiec, miękkie plaśnięcie oznacza grubą warstwę śniegu, czyli szczelinę. Ja znów mam łatwiej. Bezpieczną drogę ro zpoznaję po tym, że Jarek już nią przeszedł.

Do schroniska docieramy przy ciągle padającym śniegu o 19.00, po 14 godzinach od wyjścia.

* * *

Gdy rano, następnego dnia po zdobyciu Strahlhornu, opuszczamy schronisko, słońce pięknie świeci. Dzień wcześniej i w nocy, na wysokości naszego schroniska, napadało prawie pół metra świeżego śniegu. [ ]

adwokat Piotr Dobrołowicz

na szczycie Jarek miał małe problemy z liną

Nieprzydatność aplikanta adwokackiego do wykonywania zawodu w świetle Konstytucji RP

Opracowany przez apl. adw. Agnieszkę M. Dziśko artykuł pt. „Nieprzydatność aplikanta adwokackiego do wykonywania zawodu" a opublikowany na łamach miesięcznika In Gremio w kwietniu 2007 r wzbudził moje duże zainteresowanie. Temat jest bowiem bardzo ważny dla coraz liczniejszej grupy aplikantów adwokackich, która powinna mieć świadomość co do możliwości zastosowania wobec nich sankcji określonych w art. 79 ust. 2 ustawy z dnia 26 maja 1982 r. Prawo o adwokaturze, (dalej: „ustawa") w związku z § 19 ust.1 Regulaminu aplikacji adwokackiej (dalej: „regulamin") w wersji obowiązującej na dzień 13 maja 2007 r.

Uważam, że samo uprawnienie okręgowej rady adwokackiej do weryfikacji wiedzy i kwalifikacji aplikantów adwokackich a także ich cech osobowościowych pozwalających na prawidłowe i etyczne wykonywanie w przyszłości powinności adwokackich, jest jak najbardziej słuszne. Interesujące mnie zagadnienie nie dotyczy zatem pytania, czy powinno istnieć ustawowe uprawnienie, zarezerwowane dla okręgowej rady adwokackiej, pozwalające na wyeliminowanie z grona aplikantów adwokackich osoby nie spełniającej wymagań stawianych adeptom zawodu. Inną natomiast rzeczą jest konieczność w miarę precyzyjnego określenia przedmiotowych wymagań.

Powołany już przeze mnie art. 79 ust. 2 ustawy, pozwalający okręgowej radzie adwokackiej skreślić aplikanta adwokackiego z listy aplikantów adwokackich w okresie pierwszych dwóch lat aplikacji, jeżeli stwierdzona zostanie jego nieprzydatność do wykonywania zawodu adwokata, w ogóle nie przytacza, choćby przykładowo, powodów, jakie mogą lec u podstaw decyzji okręgowej rady adwokackiej. Podzielam zatem pogląd Agnieszki Dziśko, że „nieprzydatność do zawodu" to pojęcie nieostre, które każdorazowo powinno być interpretowane przez organ stosujący prawo. Uważam jednak, że wyjaśnienia wymaga zgodność art. 79 ust. 2 ustawy z art. 2 i 32 ust. 1 Konstytucji.

Utrwalona linia orzecznicza Trybunału Konstytucyjnego przesądza, że „zasady przyzwoitej legislacji obejmują w szczególności wymaganie należytej określoności przepisów, które winny być formułowane w sposób poprawny, precyzyjny i jasny. Jak podkreślał Trybunał Konstytucyjny, >>*każdy przepis prawny winien być skonstruowany poprawnie z punktu widzenia językowego i logicznego – dopiero spełnienie tego warunku podstawowego pozwala na jego ocenę w aspekcie pozostałych kryteriów. Wymóg jasności oznacza nakaz tworzenia przepisów klarownych i zrozumiałych dla ich adresatów, którzy od racjonalnego ustawodawcy oczekiwać mogą stanowienia norm prawnych niebudzących wątpliwości co do treści nakładanych obowiązków i przyznawanych praw. Związana z jasnością precyzja przepisu winna przejawiać się w konkretności nakładanych obowiązków i przyznawanych praw, tak by ich treść była oczywista i pozwalała na wy-*

egzekwowanie (wyrok z 21 marca 2001 r., sygn. K 24/00, OTK ZU nr 3/2001, poz. 51, s. 312)<<"[1].

Komentowana przeze mnie norma art. 79 ust. 2 ustawy jest, w mojej ocenie, niejasna, albowiem nie pozwala w żaden racjonalny sposób przewidzieć, jakie zachowanie aplikanta adwokackiego lub jakie konkretnego jego cechy osobowościowe mogą skutkować skreśleniem z listy aplikantów adwokackich. Zwracam uwagę, że § 19 regulaminu podaje tylko przykładowe sytuacje, które mogą zostać uznane przez okręgową radę adwokacką jako podstawa do stwierdzenia nieprzydatności aplikanta adwokackiego do zawodu. Zważywszy, że usunięcie z szeregu aplikantów adwokackich jest formą sankcji, to brak choćby minimalnej precyzji w zakresie przedmiotowym art. 79 ust.2 ustawy narusza zasadę porządnej legislacji i tym samym art. 2 Konstytucji.

Co więcej, redakcja omawianego przeze mnie przepisu narusza również art. 32 ust. 1, zdanie pierwsze, Konstytucji. Ustawodawca przewidział bowiem, że tylko aplikanci pierwszych dwóch lat aplikacji muszą liczyć się z zastosowaniem wobec nich sankcji z art. 79 ust. 2 ustawy. Mimo więc brzmienia § 19 regulaminu, aplikant pierwszego roku aplikacji w przypadku niepowodzenia podczas kolokwium rocznego (z uwzględnieniem negatywnego wyniku poprawki) może zostać skreślony z listy aplikantów adwokackich jako osoba nieprzydatna do wykonywania zawodu, co nastąpi na skutek uchwały okręgowej rady adwokackiej. Ale aplikant trzeciego roku aplikacji, znajdujący się w analogicznej sytuacji, nawet w przypadku stwierdzenia przez okręgową radę adwokacką jego nieprzydatności do zawodu, nie może być usunięty z szeregów aplikantów w trybie art. 79 ust.2 ustawy. Trzeba pamiętać, iż *„w orzecznictwie Trybunału*

1) Wyrok Trybunału Konstytucyjnego z dnia 28 lutego 2006 r., sygn. P 13/05; 2) wyrok Trybunału Konstytucyjnego z dnia 26 października 2004 r., sygn. SK 7/04

Konstytucyjnego wskazano, że z zasady równości wobec prawa wynika, iż wszystkie podmioty prawa (adresaci norm prawnych), charakteryzujące się daną cechą istotną (relewantną) w równym stopniu, mają być traktowane równo, a więc według jednakowej miary, bez zróżnicowań zarówno dyskryminujących, jak i faworyzujących. Nie oznacza to jednak obowiązku identycznego traktowania przez ustawodawcę każdego z tych adresatów w każdej sytuacji. W uzasadnieniu orzeczenia z 28 listopada 1995 r., sygn. K. 17/95 (OTK w 1995 r., cz. II, poz. 37) Trybunał Konstytucyjny stwierdził, że równość wobec prawa to także zasadność wybrania takiego, a nie innego kryterium różnicowania podmiotów prawa. Z istoty konstytucyjnej zasady równości wynika nakaz odmiennego traktowania podmiotów zaliczających się do różnych kategorii"[2].

Powstaje więc pytanie, jakie to kryteria spowodowały, że, zdaniem ustawodawcy, pozytywne zaliczenie pierwszych dwóch lat aplikacji sytuuje aplikanta adwokackiego poza zakresem podmiotowym normy art. 79 ust. 2 ustawy? Jaką szczególną wiedzę lub umiejętności zdobywają aplikanci po pierwszych dwóch latach aplikacji, że ich skreślenie z listy aplikantów, w przeciwieństwie do młodszych kolegów, nie jest możliwe w trybie art. 79 ust. 2 ustawy? Nie znajduję satysfakcjonującej odpowiedzi na tak postawione pytanie. Kryteria takie bowiem albo w ogóle nie istnieją albo nie zostały przez ustawodawcę nigdzie sprecyzowane. Tym samym art. 79 ust. 2 ustawy powinien dotyczyć ogółu aplikantów adwokackich bądź zostać usunięty z porządku prawnego, przy czym ze względu na wskazane przez mnie powyżej naruszenie przez cały komentowany przepis art. 2 Konstytucji, to drugie rozwiązanie wydaje się być jedynie możliwym do zastosowania.

Czy ewentualne usunięcie z obrotu prawnego art. 79 ust. 2 ustawy spowodowałoby jakiekolwiek trudności w sprawowaniu przez okręgową radę adwokacką nadzoru nad szkoleniem i zachowaniem aplikantów adwokackich? Nie sądzę. Jeżeli bowiem zarzuty kierowane pod adresem aplikanta dotyczą jego postępowania sprzecznego z prawem, zasadami etyki lub godności zawodu bądź naruszenia jego obowiązków zawodowych, w myśl art. 80 ustawy, właściwe będzie wdrożenie postępowania dyscyplinarnego. Brak zaliczenia kolokwium rocznego, również spowoduje skreślenie danej osoby z listy aplikantów adwokackich, ale w trybie art. 79 ust. 1 pkt. 2 ustawy. Niemniej badaniu podlega tu również fakt, czy nieukończenie aplikacji w przewidzianym terminie wskutek braku zaliczenia kolokwium rocznego jest usprawiedliwione. Takie rozwiązanie ustawowe należy w pełni zaaprobować, a różni się ono znacznie od regulacji przyjętej w § 19 regulaminu. Brak zaliczenia kolokwium rocznego, na skutek dających się usprawiedliwić okoliczności, nie powinien skutkować skreśleniem z listy aplikantów adwokackich. Wydaje się więc, że brzmienie § 19 regulaminu narusza art. 79 ust. 1 pkt. 2 ustawy w zakresie, w jakim dotyczy negatywnego wyniku kolokwium rocznego. Temat ten wymaga jednak szerszej dyskusji, którą, jak głęboko wierzę, artykuł Agnieszki Dziśko bardzo dobrze zapoczątkował. [ ]

Łukasz Chojniak, aplikant adwokacki
Warszawskiej Izby Adwokackiej

Na pożegnanie

W wyniku nowelizacji prawa korporacyjnego, Adwokatura Polska – od czasu prób konslolidacji ze środowiskiem radców prawnych – stanęła w obliczu kolejnego, wielkiego wyzwania. Oto bowiem ustawodawca doprowadził do sytuacji, w której nie tylko samorząd adwokacki ma wpływ na to, kogo przyjąć do grona aplikantów adwokackich, ale i także na to, kto zostanie przyjęty – w wyniku zdania egzaminu adwokackiego – w poczet palestry. Na skutek zaskarżenia ustawy, Trybunał Konstytucyjny uznał za zbyt daleko idące i tym samym niekonstytucyjne przepisy niweczące wyłączne prawo organów adwokatury do decydowania o przyjęciu osób do grona poszczególnych izb adwokackich. Trybunał pozostawił – jako zgodne z Konstytucją – regulacje dotyczące postępowania związanego z przyjęciem i odbywaniem aplikacji, dając tym samym znak, że przyjęte rozwiązania dają młodym adeptom wiedzy prawniczej możliwość kształcenia się i przygotowania, w ramach aplikacji, do egzaminu adwokackiego, który ma pozostać egzaminem korporacyjnym. Wynikające z tego uprawnienia nałożyły na Adwokaturę olbrzymią odpowiedzialność, której ciężar nie wszyscy zdają się rozumieć. Z jednej strony włożyły na odpowiednie osoby w organach poszczególnych izb odpowiedzialność za jakość kształcenia aplikantów adwokackich, bowiem od ich staranności i determinacji zależeć będzie ilość ocen pozytywnych podczas egzaminu adwokackiego. Z drugiej zaś strony otwarcie możliwości odbywania aplikacji, uzależnionej tylko i wyłącznie od wyników egzaminu wstępnego, jednolitego i przeprowadzonego według tych samych zasad, a tym samym wolnego od zarzutu, z którym spotykała się Adwokatura w poprzednich latach, było wyraźnym sygnałem do otwarcia się środowiska adwokackiego i wprowadzenia mechanizmów rynkowych. Zwiększona ilość aplikantów – po dobrym przygotowaniu do zawodu, zdobytym podczas aplikacji, i zdanym pozytywnie egzaminie adwokackim – zasilając szeregi adwokatów, przyczynić się może w efekcie do podniesienia jakości świadczonych usług. O tym, że organom adwokatury zależy na podniesieniu jakości usług może świadczyć wprowadzenie korporacyjnego obowiązku udziału w szkoleniach, jak to wynika z Uchwały NRA nr 38/2006 z dnia 25 marca 2006 r. w sprawie wprowadzenia obowiązku doskonalenia zawodowego. Kwestia, które z rozwiązań jest skuteczniejsze: nakaz czy „niewidzialna ręka rynku", zostawiam bez komentarza.

Stojąc zatem przed wyzwaniem, jakim było otwarcie aplikacji i wynikające z tego implikacje związane ze wzrostem ilości adwokatów w przyszłości, przedstawiciele palestry musieli odpowiedzieć sobie na pytanie czy są na to gotowi, czy też należy podjąć walkę i dostępnymi sposobami spróbować ograniczyć liczbę ewentualnych konkurentów na rynku usług prawniczych. Niestety wie-

le wskazuje na to, że zwycięża ta druga koncepcja, mająca na celu obejście ducha nowelizacji ustawy i doprowadzenie do tego, by jak najmniej osób ukończyło apliakcję adwokacką, a tym samym jak najmniej z nich zdało egzamin adwokacki, uprawniający do wpisania się na listę adwokatów. Świadczyć o tym mogą zarówno działania NRA, jak i praktyka poszczególnych ORA.

W dniu 25.11.2006 r. NRA znowelizowała regulamin aplikacji wprowadzając do niego bardzo restrykcyjne przepisy pozwalające na stosunkowo łatwe skreślenie z listy aplikantów. Zmiany te dość szczegółowo, a zwłaszcza kontrowersyjny § 19 Regulaminu, zostały opisane w artykule aplikantki adwokackiej Agnieszki Dziśko pt. „Nieprzydatność aplikanta adwokackiego do wykonywania zawodu". Za sprawą nowych regulacji korporacyjnych, przy wykorzystaniu istniejącego od chwili uchwalenia Ustawy „Prawo o adwokaturze" artykułu 79 ust. 2, można w stosunkowo łatwy sposób zmniejszać ilość osób będących na aplikacji adwokackiej. Skąd taka śmiała teza? Intencje ustawodawcy, przy poparciu środowiska adwokackiego, związane z zamieszczeniem w ustawie regulacji o skreśleniu z listy aplikantów i adwokatów, zmierzać raczej miały ku zachowani umiaru i rozwagi przy podejmowaniu tak drastycznych decyzji. Potwierdzeniem tego była zarówno praktyka korporacyjnego sądownictwa dyscyplinarnego, jak orzeczenia sądów. Przypomnieć tu należy choćby wyrok NSA z dnia 18 listopada 1999 roku (sygn. akt: II SA 1345/99) wspomniany w w/w artykule. W uzasadnieniu tego wyroku czytamy m.in.: „Organy samorządu adwokackiego, podejmując tak radykalną decyzję o skreśleniu z listy aplikantów, zobowiązane winny być do zebrania w sposób wyczerpujący całego materiału dowodowego i do jego rozpatrzenia oraz wszechstronnej oceny, czy ustalone dla rozstrzygnięcia sprawy okoliczności zostały udowodnione". Czy można zatem uznać działania ORA w Szczecinie, podjęte wobec aplikantów, a zmierzające do skreślenia ich z listy aplikantów, tylko i wyłącznie na podstawie negatywnego wyniku z jednego z egzaminów podczas kolokwium rocznego, za zgodne z dotychczasowymi wytycznymi judykatury? Czy takie jednostkowe „potknięcie", jak słusznie zauważa Agnieszka Dziśko, jest wystarczającym miernikiem dla negatywnej oceny całości postaw aplikanta, doprowadzającym w końcu do pozbawienia go możliwości wyboru zawodu, który chciałby wykonywać? Odpowiedzi na te pytania muszą być przeczące, mimo iż, jak to sugeruje w swoim artykule mecenas Piotr Dobrołowicz, Okręgowa Rada Adwokacka w Szczecinie, podejmując decyzję o skreśleniu aplikantów z listy, była do niej zmuszona wobec braku innych uregulowań korporacyjnych. W swoim artykule Pan Mecenas, dokonując wykładni obecnie obowiązujących przepisów dotyczących stwierdzenia nieprzydatności do zawodu adwokata, stwierdza jednoznacznie, że niezaliczenie choćby jednego przedmiotu, nawet takiego, którego tematyka nie jest ujęta w Ustawie „Prawo o adwokaturze", w zakresie materiału objętego egzaminem adwokackim (dot. Historii Adwokatury), skutkować musi skreśleniem z listy aplikantów mimo, iż „... wszyscy członkowie okręgowej rady adwokackiej mogą taki skutek uznawać ze nieproporcjonalny do wagi zdarzenia". Pozbawia on tym samym możliwości dokonywania wykładni celowościowej obowiązujących przepisów i odpowiedzi na ewentualną niewspółmierność kary do wagi popełnionego czynu.

W dalszej części swego artykułu zauważa jednak, że „... w najbliższym czasie ORA Szczecinie zajmie się kwestią skierowania do NRA wniosku o zmianę Regulaminu aplikacji adwokackiej w opisywanym zakresie tak, by niezaliczenie jednego przedmiotu na kolokwium rocznym nie skutkowało faktyczną koniecznością skreślenia z listy aplikantów". Daje tym samym wyraz wątpliwościom, jakie towarzyszyły ORA w Szczecinie podczas podejmowania tak drastycznej decyzji o skreśleniu aplikantów z listy, wobec stwierdzenia ich nieprzydatności, za uchybienia pozostające w znacznej dysproporcji w stosunku do wymierzonej kary. Należy zatem postawić pytanie, czy nie byłoby bardziej rozsądne postępowanie ORA w Szczecinie w odwrotnej kolejności, tzn. wobec nasuwających się wątpliwości, przed podjęciem decyzji o skreśleniu z listy aplikantów, należałoby najpierw uzyskać opinię NRA lub też zmierzać do zmiany krzywdzących przepisów, a dopiero potem decydować o ważnych życiowo sprawach aplikantów?

Osobnym zagadnieniem jest tryb, w jakim podjęto uchwałę o skreśleniu z listy aplikantów. W uzasadnieniu decyzji o moim skreśleniu mogłem przeczytać, że „... Wobec braku możliwości dokonania odmiennej interpretacji przepisów, a zatem będąc zmuszona do ich przestrzegania, ORA w Szczecinie była zobowiązana rozstrzygnąć kwestię niezaliczenia jednego przedmiotu podczas kolokwium rocznego, poprzez podjęcie uchwały o skreśleniu z listy aplikantów". To „stanie na straży praw" odbyło się jednak z naruszeniem wielu innych przepisów prawa, choćby art. 10 § 1 KPA poprzez uniemożliwienie wypowiedzenia się strony przed podjęciem decyzji, co potwierdziła NRA uchylając decyzję o skreśleniu z listy aplikantów i przekazując ją do ponownego rozpatrzenia. Właśnie styl, w jakim podjęto decyzję o moim skreśleniu z listy aplikantów adwokackich był głównym powodem mojej późniejszej rezygnacji z kontynuowania aplikacji adwokackiej. Trudno jest mi pogodzić się z tym, że organy samorządu, które mają mnie reprezentować, podejmują wobec mnie decyzje z naruszeniem prawa. Wypada mi w tym miejscu życzyć nowo wybranym władzom samorządowym Szczecińskiej Izby Adwokackiej większej roztropności przy podejmowaniu kolejnych decyzji w sprawie skreślenia z listy aplikantów wobec niezaliczenia przedmiotu na kolokwium rocznym i kierowania się przez nich raczej względami słuszności i zasadami współżycia społecznego, niźli tylko literalnym brzmieniem przepisów. Życzę również nowo wybranym władzom determinacji w doprowadzeniu do zmiany Regulaminu aplikacji adwokackiej, tak jak to obiecywał w swoim artykule mecenas Dobrołowicz. [ ]

Konrad Jarosz
były aplikant Szczecińskiej Izby Adwokackiej
(zrezygnował z kontynuowania aplikacji)

Streaming a pola eksploatacji utworu

[Andrzej Oryl, Rafał Malujda (LL. M., Rostock)]
aplikanci radcowscy w „Marek Czernis – Kancelaria Radcy Prawnego", Szczecin

Określenie „pola eksploatacji" kilkukrotnie występuje w tekście ustawy z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych[1] (dalej zwanej: Ustawą). Posłużono się nim przy redakcji przepisów opisujących treść majątkowych praw autorskich i pokrewnych (art. 17, 86, 99[1] Ustawy), a także regulujących zasady obrotu tymi prawami (art. 41, 45, 64, 67, 87 Ustawy) oraz określających zasady działania organizacji zbiorowego zarządzania (art. 105 i 107 Ustawy). Ustawodawca nie zdecydował się na jego zdefiniowanie, poprzestając na wyliczeniu w art. 50 Ustawy odrębnych pól eksploatacji. Omawiane pojęcie można jednak zdefiniować w oparciu o wspomniane powyżej przepisy, jako katalog wyodrębnionych i samodzielnych form oraz sposobów w jakich podmiot uprawniony może korzystać i rozporządzać utworem, co pokrywa się ze stanowiskiem J. Barty, iż „pola eksploatacji stanowią w rzeczywistości poszczególne prawa autorskie majątkowe"[2].

Należy przy tym zauważyć, iż zamieszczone w art. 50 Ustawy wyliczenie nie ma charakteru wyczerpującego a określa jedynie pola eksploatacji dostępne przy aktualnym stanie techniki. Kierując się tą zasadą Ustawodawca wymienił:

a) w zakresie utrwalania i zwielokrotniania utworu - wytwarzanie określoną techniką egzemplarzy utworu, w tym techniką drukarską, reprograficzną, zapisu magnetycznego oraz techniką cyfrową;

b) w zakresie obrotu oryginałem albo egzemplarzami, na których utwór utrwalono - wprowadzanie utworu do obrotu, użyczenie lub najem oryginału albo egzemplarzy utworu;

c) w zakresie rozpowszechniania utworu w inny niż wskazany powyżej sposób - publiczne wykonanie, wystawienie, wyświetlenie, odtworzenie oraz nadawanie i reemitowanie, a także publiczne udostępnianie utworu w taki sposób, aby każdy mógł mieć do niego dostęp w miejscu i w czasie przez siebie wybranym.

W kontekście przytoczonego wyliczenia należy uznać za zasadne rozumowanie M. Smycza, który twierdzi, że „polami eksploatacji nie są utrwalanie, zwielokrotnienie, obrót egzemplarzami i rozpowszechnianie, lecz formy wykorzystania wymienione w Ustawie jako ich egzemplifikacja"[3]. Tym samym wskazywanie w umowie przenoszącej autorskie prawa majątkowe albo w umowie licencyjnej, że np. „upoważnia ona do zwielokrotniania utworu" bez jednoczesnego określenia techniki w jakiej zwielokrotnianie ma być wykonywane, nie uczyni zadość obowiązkowi wyraźnego wymienienia pól eksploatacji objętych umową i w razie ewentualnego sporu spowoduje konieczność ustalenia ich rodzajów za pomocą reguł interpretacyjnych wskazanych w art. 65 Kodeksu cywilnego[4]. Ponadto, przepis art. 50 Ustawy wyraźnie wskazuje, iż wszystkie wymienione w nim pola eksploatacji charakteryzują się „odrębnością". Przyjąć zatem należy, iż to właśnie ta cecha pozwala na uznanie danego sposobu korzystania lub rozporządzania utworem za samodzielne pole eksploatacji, nie zaś jedynie za „refleks" innego wcześniej istniejącego pola. E. Traple wskazuje, iż doktryna i orzecznictwo wypracowały następujące kryteria pozwalające na ustalenie czy cecha „odrębności" została spełniona:

1) używania innego technicznie sposobu zwielokrotnienia lub rozpowszechnienia utworu lub jego egzemplarza;

2) zaspokajanie innego kręgu odbiorców;

3) fakt, iż rozpowszechniania dokonuje inny podmiot niż ten który rozpoczął rozpowszechnianie;

4) całkowicie odrębne ekonomicznie znaczenie określonego sposobu użycia;

5) terytorialny lub regionalny zasięg użytku[5].

Rozwój nowoczesnych sposobów komunikowania się słusznie określono mianem rewolucji informatycznej, gdyż zmiany w tym zakresie zachodzą tak szybko, że nie sposób precyzyjnie przewidzieć ich kierunku, ani zakresu, a tym samym urządzeń i technik służących gromadzeniu i przekazywaniu informacji. W związku z tym zasadne wydaje się pytanie: czy wymieniony w Ustawie zakres pól eksploatacji nie powinien zostać rozszerzony? To zagadnienie pojawia się ostatnio w związku ze wzrostem popularności dwóch klas aplikacji multimedialnych działających w Internecie. Chodzi mianowicie o strumieniową transmisję zapisanego obrazu lub dźwięku oraz strumieniową transmisję obrazu lub dźwięku na żywo. Transmisja strumieniowa

1) Tekst jednolity: Dz. U. z 2006 r., Nr 90, poz. 631 z późn. zmianami. 2) J.Barta, R. Markiewicz, Prawa autorskie i prawa pokrewne. Komentarz, Zakamycze 2005, s. 390. 3) [w:] M. Smycz, Komentarz do ustawy z dnia 28 października 2002 r. o zmianie ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Lex 2003. 4) wyrok SN z 14 września 2005 r., sygn. akt III CK 124/05, publ.. Biul. SN 2005/12/8. 5) J. Barta E. Traple System Prawa Prywatnego T.13 Prawo autorskie, C.H. Beck 2003, s. 138. 6) James F. Kurose, Keith W. Ross „Sieci internetowe – od ogółu do szczegółu z Internetem w tle", Gliwice 2006, s. 550. 7) nternetowe – od ogółu do szczegółu z Internetem w tle", Gliwice 2006, s. 551.

(ang. streaming) zakłada, iż użytkownik pobiera pliki audio lub wideo przechowywane na serwerze. Pliki nie są jednak pobierane w całości przed rozpoczęciem odtwarzania – podczas gdy na komputerze odtwarzany jest obraz lub dźwięk z jednej części pliku, kolejne części pobierane są z serwera[6]. Upraszczając, można powiedzieć, iż utwór „wlewa się" do komputera użytkownika. Przykładem takiego rozwiązania jest popularny obecnie serwis „YouTube." Strumieniowa transmisja obrazu i dźwięku na żywo przypomina tradycyjną telewizję i radio, z tym że przekaz odbywa się przez Internet, co umożliwia użytkownikowi odbieranie transmisji na żywo z dowolnego zakątka świata[7]. Dotyczyć to może zarówno utworów (programów) własnych osoby dokonującej transmisji, jak i programów re-transmitowanych pochodzących od innych nadawców, czy to internetowych czy to „konwencjonalnych". Mając na uwadze istotę pól eksploatacji utworów przedstawioną powyżej, powróćmy teraz do pytania: czy korzystanie z utworów w ramach ww. transmisji należy zaliczyć do nowych pól eksploatacji? Odpowiedź na to pytanie ma doniosłe konsekwencje praktyczne w sferze formułowania i interpretacji umów zobowiązaniowych w dziedzinie prawa autorskiego. Strumieniowy przekaz obrazu transmitowanego na żywo należy potraktować jako „publiczne reemitowanie", określone jako odrębne pole eksploatacji w art. 50 pkt 3 Ustawy i zdefiniowane w art. 6 pkt 5 Ustawy. Transmisja taka wypełnia bowiem wszystkie warunki niezbędne by przypisać ją do tej kategorii. Z kolei, jeżeli chodzi o strumieniową transmisję uprzednio zapisanego obrazu lub dźwięku, to sytuacja nie jest również zbyt skomplikowana, gdyż trafnym rozwiązaniem będzie przyporządkowanie takiej transmisji do pola eksploatacji określanego w art. 50 pkt 3 Ustawy jako „publiczne udostępnianie utworu w taki sposób, aby każdy mógł mieć do niego dostęp w miejscu i w czasie przez siebie wybranym". Wydaje się, iż również strumieniowa transmisja na żywo programów własnych nie przysparza większych trudności kwalifikacyjnych. Współczesne techniki teleinformatyczne wykorzystywane przy takiej transmisji są objęte definicją „nadawania" zawartą w art. 6 pkt 4 Ustawy i tym samym transmisja taka może być uznana jako pole eksploatacji określane mianem „publicznego nadawania", o którym mowa w art. 50 pkt 3 Ustawy.

Można zatem przyjąć, iż przedstawione formy wykorzystania utworów w Internecie można przyporządkować któremuś z pól eksploatacji wymienionych przykładowo w Ustawie. Dowodzi to, że prawidłowo skonstruowane przepisy z powodzeniem regulują nawet te „nowoczesne" stosunki cywilno-prawne i pojawiająca się ostatnio tendencja do kazuistycznego ich regulowania nie jest do końca prawidłowa. [ ]

W poprzednich numerach starałem się przedstawić w ogólnych zarysach to, jak klasyczne instytucje prawa cywilnego zmieniają się i dostosowują do będącego wciąż w fazie rozwojowej prawa internetowego. Jednakże obok takich rozwiązań normatywnych jak pieniądz elektroniczny, podpis elektroniczny, czy oferta elektroniczna, można tu również zauważyć problemy nowe, niekoniecznie znajdujące swe odpowiedniki w tradycyjnym dorobku prawodawczym. Przykładem tego może być SPAMMING.

SPAM, czyli Stupid Persons Advertisement to nic innego, jak używanie poczty elektronicznej w celach komercyjnych[1]. Sama reklama internetowa określana jest jako przekaz łączący cechy informacji i zachęty do skorzystania z oferty, adresowany do losowych/ indywidualnych odbiorców. Reklama taka powinna posiadać cechy reklamy prasowej, radiowej, telewizyjnej, czy pocztowej[2]. W tym kontekście SPAM–em będzie każdy list elektroniczny, który nie jest spodziewany przez potencjalnego adresata. Rzecz jasna, w takim wypadku należy doprecyzować pojęcie „listu spodziewanego przez adresata", uwzględniając przy tej okazji takie czynniki jak osoba adresata, zawód przez niego wykonywany oraz stopień powiązania jego działalności zawodowej (gospodarczej) z funkcjonowaniem poczty mailowej. W tym kontekście duża część ofert nie musi spełniać określonego kryterium. Po uwzględnieniu tej uwagi trzeba przyznać, że „normalny" SPAM stanowi często poważne utrudnienie, uciążliwość dla odbiorców. Opóźnia właściwą pracę wykonywaną przez internet, a w przypadku, gdy dostęp do tegoż jest płatny – przyczynia się do większych kosztów różnych operacji. Z tego też powodu wynikała i wynika konieczność wprowadzenia pewnych uregulowań prawnych związanych z rzeczonym zjawiskiem. Problem pojawia się jednak przy próbie doprecyzowania formy i zakresu owych uregulowań.

Ciekawy niewątpliwie okaże się fakt, że wśród pionierów wysyłania komercyjnych listów elektronicznych na szeroką skalę bodajże najważniejsze miejsce zajmuje... pewna amerykańska kancelaria prawnicza reklamująca w ten sposób swoje usługi[3]. Pierwszy jednak

Maciej J. Nowak
doktorant w Zakładzie Prawa i Gospodarki Nieruchomościami na Akademii Rolniczej w Szczecinie
prawnik, historyk

Spamming a prawo

proces związany ze wspomnianym problemem odbył się w latach dziewięćdziesiątych i łączył się z powództwem Cyber Promotions (CP) przeciwko America Online (AO). Pierwsze ze wspomnianych przedsiębiorstw wysyłało za pośrednictwem tego drugiego (dostawcy internetu w USA) miliony komercyjnych, związanych z przekazem reklamowym maili dziennie. Po wielu skargach swoich użytkowników America Online zdecydowało się automatycznie odsyłać uciążliwe listy na adres nadawcy. Nietrudno się domyślić, że pogłębiło to spór pomiędzy dwoma podmiotami, skutkiem czego sprawa znalazła się w sądzie. Cyber Promotions powoływało się przy tym na konstytucyjne prawo do swobodnej wypowiedzi. W tej precedensowej sprawie sędziowie uznali jednak, że ewentualne powoływanie się na naruszenie Pierwszej Poprawki byłoby uzasadnione w momencie, kiedy powód wykonywałby jakiekolwiek funkcje publiczne. W przypadku działalności czysto komercyjnej regulacje te nie mają zastosowania, a CP może bardzo łatwo znaleźć inne formy działalności reklamowej[4]. To orzeczenie, w ramach którego dopuszczono możliwość blokowania SPAM-u, jako zjawiska negatywnego przyczyniło się do dalszego rozwoju w tym kierunku zarówno prawa w Stanach Zjednoczonych, jak i w krajach Unii Europejskiej[5]. Wykształciły się nawet dwa rodzaje podejścia do wspomnianego problemu. Tzw. „system opt–out" pozwala użytkownikowi na podjęcie decyzji o wycofaniu się z systemu SPAM-owego po otrzymaniu niechcianej poczty. Takie rozwiązanie wymaga więc jasnej deklaracji ze strony bezpośrednio zainteresowanego. Rzecz jasna, metoda opuszczenia systemu musi być dla adresata łatwa, jasna i klarowna. Z kolei system „opt–in" uzależnia rozsyłanie poczty do odbiorców od wyrażenia przez nich wcześniej jednoznacznej zgody. W tym przypadku więc samo wysłanie SPAM – u bez podobnej wcześniejszej akceptacji jest już niedozwolone. System „opt–out" przeważa w Stanach Zjednoczonych, a system „opt–in" w krajach Unii Europejskiej.

Pewne rozwiązania w tym zakresie zostały również przewidziane w prawie polskim w ustawie z 18 lipca 2002 o świadczeniu usług drogą elektroniczną[6]. Artykuł 10 tegoż aktu prawnego wprowadził zakaz rozsyłania niezamówionej informacji handlowej za pomocą poczty mailowej. Przy czym brak doprecyzowania w ustawie pojęcia odbiorcy takiej informacji sprawia, że termin ten interpretujemy możliwie najszerzej, zaliczając do jego desygnatów osoby fizyczne, prawne, jednostki bez osobowości prawnej, bez względu na rodzaj działalności przez nich podejmowanej. Jedyne zastrzeżenie dotyczy „oznaczenia" odbiorcy, czyli przepisy nie stoją na przeszkodzie, by SPAM był przesyłany np. na fora internetowe. Zgodnie z zasadami systemu „opt–in", wcześniejsza zgoda adresata musi zostać wyrażona w sposób bardzo jasny. Tym bardziej jest to istotne, że ciężar dowodu istnienia takiej zgody obciąża podmiot wysyłający daną pocztę.

Przesyłanie niezamówionej poczty stanowi ścigane na wniosek pokrzywdzonego wykroczenie, zagrożone grzywną. Co ciekawe, wykroczenie to może zostać popełnione również z winy nieumyślnej.

Rzecz jasna, w praktyce sytuacja wygląda trochę inaczej. Potencjalni producenci SPAM–u znajdują wiele różnych rozwiązań, dzięki którym mogą ominąć niewygodne dla nich przepisy. I prawdę mówiąc, wydaje się, że rozwiązania ustawowe całego problemu tutaj nie załatwią. Pod tym względem najważniejsze jest to, aby providerzy mieli prawną możliwość ograniczania nazbyt chętnych do reklamowania się drogą mailową przedsiębiorców. W momencie gdy takie uprawnienia posiadają – kwestią naszej indywidualnej decyzji jest dobór takiego dostawcy Internetu, który gwarantuje najmniej problemów ze SPAM–em. [ ]

1) Jednakże istnieją wersje, zgodnie z którymi SPAM – em może być również poczta niekomercyjna. Sama nazwa została zaczerpnięta... ze skeczów Monty Pythona. 2) K. Korus, M. Spyra, Prawo handlu elektronicznego, Kraków 2005, s. 190. O samych teoriach informacji – szerzej w: R. Cisek, J. Jezioro, A. Wiebe, Dobra i usługi informacyjne w obrocie gospodarczym, Warszawa 2005, s. 20. 3) A. Schwartz, S. Garfinkiel, Stopping Spam – Stamping Out Unwanted E – mail & News Positing, O'Reilly, 1998. 4) P. Podrecki (red.), Prawo Internetu, Warszawa 2007, s. 583 – 584. 5) D. Szostek, Czynność prawna a środki komunikacji elektronicznej, Zakamycze 2004, s. 305.

[Maciej Strączyński]
Przewodniczący III Wydz. Karnego Sądu Okręgowego w Szczecinie

Porwanie księcia Bogusława

Eryk II, książę słupski i szczeciński, zmarł nagle podczas zarazy w 1474 r. Następcą jego został najstarszy syn Bogusław X, nazwany już wkrótce Wielkim; jego trzej bracia zmarli też przedwcześnie, prawdopodobnie podczas tej samej epidemii co ojciec. Bogusław był wielki nie tylko jako polityk, ale i fizycznie: był bardzo wysoki, silny jak niedźwiedź, wszyscy jego rycerze ledwie po szyję mu sięgali i książę aż do starości nie znalazł siłacza, który by go pokonał w pojedynkę. Gdy zasiadł na tronie, nawiązał ścisłą współpracę ze stryjem, Warcisławem X. Tylko ich dwóch zostało z dynastii: książę wołogoski po poprzedniej zarazie sprzed dziesięciu lat, która zabiła mu dwóch synów, nie dochował się już następcy i wiadomo było, że jego dziedzicem będzie bratanek.

Pomorze było podniszczone, poniosło wielkie wydatki na wojnę z Brandenburgią. Nowy książę musiał jednak objechać swoje państwo i poprzyjmować kolejno hołdy od wszystkich miast i ziem. Ruszył zatem w drogę. Zaczął od Szczecina, potem był u stryja w Wołogoszczy. Następnie objeżdżał dalsze miasta. Tymczasem elektor brandenburski Albrecht Achilles podjął znowu działania w celu zdobycia księstwa szczecińskiego. Powoływał się na sławetne cesarskie lenno[1], w końcu zaatakował. Bogusław X też nie pozostał dłużny, zwłaszcza że nienawidzący Brandenburgii stryj zachęcał go do walki. Wraz z wojskiem podążył do Pyrzyc, by stamtąd atakować ziemie Albrechta. Ten najpierw obległ Gryfino, ale gdy dowiedział się, że Bogusław X jest w Pyrzycach, zaatakował to miasto. Nasz książę jednak zdołał w nocy potajemnie wymknąć się z Pyrzyc, Albrecht nie zdobył miasta i zwinął oblężenie, nie mając możliwości ujęcia samego Bogusława. W końcu zaczęli ze sobą rozmawiać.

Rozmowy skończyły się dyplomatycznie sformułowanym układem, z którego nie wynikało jasno, czy księstwo szczecińskie podlega Brandenburgii, czy nie. Dodatkiem do niego był ślub Bogusława X z Małgorzatą Hohenzollern, córką Fryderyka II – tego, który przekupił Albrechta Glindena. Walki bynajmniej się nie skończyły. Warcisław X, dla którego coś takiego jak pokój z Brandenburgią nie istniało, wkrótce znienacka zaatakował i odbił Gardziec. Co ciekawe, wraz z Gardźcem zdobył... dowódcę jego obrony, rycerza Wernera von Schulenburga. Schulenburg dotrzymał przysięgi złożonej elektorowi, bronił miasta twardo, ale został w końcu osaczony w jednej z wież i wzięty do niewoli. Wtedy przyjął łaskę Warcisława i przeszedł na stronę Pomorza. Jak się okazało, była to najcenniejsza zdobycz, bo ten znakomity rycerz był potem do śmierci wierny Gryfitom.

Był to ostatni sukces Warcisława X, który zmarł w 1478 r., zostawiając Bogusławowi X cale Pomorze – zjednoczone po raz pierwszy od czasów Barnima I Dobrego. Bogusław przejął kraj wciąż jeszcze znajdujący się w kiepskiej kondycji. Sam książę i jego dwór też nie stali zbyt dobrze finansowo. Zapewne z tego powodu właśnie doszło do niezwykłego zdarzenia z udziałem Bogusława X. Zygmunt Boras w swoim znanym dziele „Książęta Pomorza Zachodniego" ulokował je w roku 1475, ale z pewnością miało ono miejsce później, ponieważ wiadomo, że Bogusław X był już wtedy żonaty, a nadto służył mu już Werner von Schulenburg – tymczasem zarówno ślub księcia, jak i „zdobycie" Schulenburga miały miejsce w roku 1477.

Bogusław X wraz z orszakiem jechał wtedy przez Pomorze i zatrzymał się w zamku w Sianowie[2]. Sianów – miasto będące pomorskim odpowiednikiem Wąchocka, bo w tamtych czasach o mieszkańcach Sianowa opowiadano u nas podobne historyjki, jak dziś w Polsce o Wąchocku – tradycyjnie od lat rywalizował, bez większych sukcesów, z silniejszym gospodarczo sąsiednim Koszalinem. Podczas pobytu księcia w Sianowie dworzanie Bogusława poczynali sobie dosyć swobodnie. Jeden z nich, którego imię się nie zachowało, zebrał gromadę swoich ludzi i pociągnął na gościniec wiodący z Sianowa do Koszalina, na południe od Chełmskiej Góry[3], by tam spróbować tego, co wówczas w Polsce zwano chąśbą – czyli po prostu rabunkiem. Trafiła mu się kupiecka karawana ciągnąca z polskiego Gdańska w stronę Koszalina. Dworzanin i jego opryszkowie napadli zbrojnie na kupców, zrabowali, co im w rękę wpadło, po czym z łupami pognali do Sianowa w nadziei, że ludziom z książęcego orszaku wszystko ujdzie na sucho.

1) mowa o nim była w artykule „Zdrada Albrechta Glindena". 2) z zamku tego nie zachowało się nic i nie ma dziś nawet pewności, w której części miasta stał. 3) dzisiejsza główna droga z Koszalina do Sianowa omija tę górę z przeciwnej strony. 4) Adam Podewils w przyszłości miał w imieniu księcia Bogusława X zawierać per procura małżeństwo z Anną Jagiellonką. 5) Prawdziwym herbem Koszalina jest głowa Jana Chrzciciela, patrona tamtejszej katedry. Używany obecnie herb został zaprojektowany

Przeliczyli się. Obrabowani kupcy pochodzili z Koszalina, rodzinne miasto było blisko. Napadnięci wpadli do miasta i z krzykiem grozy przez uliczki poniosła się wieść: ludzie księcia rabują kupców, a książę ich chroni! Zebrał się tłum ludzi: kupcy, ich krewni, znajomi, wszyscy ruszyli pod ratusz. Burmistrz Koszalina próbował uspokoić mieszczan, ale nic nie zdołał zdziałać. Koszalinianie zebrali się w potężną gromadę, złapali za broń i pognali do Sianowa. A że Sianów był blisko, zaś koszalińskie konie znano na Pomorzu jako świetne wierzchowce – błyskawicznie byli na miejscu.

Pod sianowskim zamkiem, w którym przebywał książę, zebrał się nagle rozzłoszczony tłum. Przybyli zażądali od księcia natychmiastowego wydania przestępcy. Czy książę wiedział, kto był rabusiem, czy się domyślał – nie wiadomo, ale zachowując godność mógł zrobić tylko jedno: posłał do zebranych człowieka i kazał oświadczyć, że on sam wymierzy sprawcy książęcą sprawiedliwość, a zebrani mają się rozejść. Tłum wpadł w szał, przekonany, że książę zbójów osłania. Wszyscy dobyli broni i wpadli gromadą do zamku. Dwór księcia był spory, liczył około 200 ludzi, ale koszalinian było znacznie więcej. Doszło do krótkiej bitwy, na szczęście bez większej ilości ofiar. Koszalinianie przelecieli jak wicher przez komnaty i dopadli księcia: jeden z mieszczan, uzbrojony w halabardę, omal nie zabił Bogusława X na miejscu. Uratował księcia Adam Podewils, jeden z jego najbliższych dworzan[4], wołając do koszalinian, kim jest osaczony przez nich olbrzymiego wzrostu rycerz. Zdążyli jednak zranić księcia, który wobec tak wielkiego tłumu napastników nie miał szans. Co się stało z rabusiem, historia milczy: być może został od razu rozsiekany. Zrabowane dobra zostały bowiem odnalezione i odzyskane.

Koszalinianie związali rannego księcia i wynieśli przed dwór. Jak na zawołanie, znalazł się od razu wóz z gnojem, ówczesny odpowiednik taczek. Rannego Bogusława zwycięzcy położyli na gnoju i triumfalnie powieźli do Koszalina. Najpierw do miasta wpadli jednak jeźdźcy z okrzykami triumfu, głosząc, że wszystko zostało odzyskane. Burmistrz i rajcy, którzy przedtem nie zdołali tumultu opanować, siedzieli w ratuszu i czekali na powrót zajazdu z Sianowa. Jakież było ich przerażenie, gdy zobaczyli, że triumfująca tłuszcza przez bramę z sianowskiego traktu wprowadza do miasta wóz z gnojem, a na nim rannego Bogusława X, księcia Pomorza, Słupska, Szczecina, Wołogoszczy etc., etc.

Czym prędzej dopadli wozu, rozgonili tłum, poprowadzili księcia z szacunkiem do ratusza czy też domu burmistrza (nie ma pewności). Opatrzyli, umyli, przebrali i czym prędzej rzucili się do kolan Jego Wysokości, prosząc o wybaczenie „incydentu". Bogusław jednak był z jednej strony strasznie rozeźlony upokorzeniem, z drugiej dostrzegł okazję do zyskania czegoś na zdarzeniu. Orszak książęcy pozbierał się w międzyczasie po porażce i dotarł pod miasto. Bogusław oświadczył, że warunki przebaczenia jeszcze przedstawi i opuścił Koszalin.

W mieście powiało strachem, bo zaczęły docierać bardzo niepokojące wieści. Szlachta w promieniu wielu mil szykowała się do walki z Koszalinem w obronie honoru księcia, a przy okazji w nadziei uskubania czegoś dla siebie w bogatym grodzie. Z innych miast też docierały podobne wiadomości. Wiadomo było, że jeżeli książę dopuści do najazdu na Koszalin, to z bogactwa mieszczan nic nie zostanie. Wysłannicy rady miasta pognali więc za księciem, który ruszył w drogę do Szczecina. Dogonili go w Białogardzie. Książę odmówił dopuszczenia przedstawicieli podpadniętego miasta przed swoje oblicze, a zadanie załatwienia sprawy przekazał powołanej w tym celu „komisji rządowej" z Wernerem von Schulenburgiem na czele. Ten, wraz z Henningiem Borkiem i Kasprem Flemingiem zmusił burmistrza i rajców Koszalina do podpisania układu, którego warunki od początku do końca podyktowali książęcy doradcy. Wyboru nie zostawili żadnego.

Koszalin zobowiązał się do wypłacenia Bogusławowi X trzech tysięcy złotych reńskich (czyli po po-

w 1958 r. na zamówienie rady miasta, która chciała pozbyć się z godła symbolu religijnego. Powtórzyła w ten sposób „wyczyn" hitlerowskiej rady miasta, która w 1938 r. też odrzuciła prawdziwy herb na rzecz symbolu przypominającego germańskie runy. Hitlerowski herb przetrwał do 1945 r., „socjalistyczny" twór trwa do dziś. 6) Ten przekład słowa „raubritter" jest oczywiście dziełem Janusza Christy, wielkiego mistrza komiksu („Kajko i Kokosz").

morsku – guldenów) odszkodowania: ponieważ zebranie takiej sumy jednorazowym podatkiem byłoby zbyt trudne, miało to nastąpić w trzech ratach. Zrzekał się długu 500 grzywien, które pożyczył od miasta Koszalina jeszcze ojciec Bogusława na wojnę z Brandenburgią. Zobowiązywał się obdarować także małżonkę księcia sumą 200 guldenów i pięknym klejnotem. Według niektórych źródeł książę zażądał też tabuniku słynnych koszalińskich koni. Pod tymi warunkami zgadzał się przyjąć przeprosiny koszalinian – ale też w określonej formie.

W zapowiedzianym dniu Bogusław X zjechał wraz z całym dwustuosobowym orszakiem pod Koszalin. Podjechał pod tę samą bramę, którą wwieziono go do miasta: wrota zdjęto z zawiasów i położono na drodze, aby książę wraz z orszakiem po nich przejechał. Naprzeciwko księcia wyszła olbrzymia procesja, w której iść musieli burmistrz, rajcy, duchowieństwo i wszyscy obywatele miasta, z chorągwiami i krzyżami. Pod bramą wszyscy padli na kolana i błagali Bogusława X o przebaczenie. Orszak książęcy poszedł jednak dalej, a procesja błagalna za nim pod ratusz. Tam po raz drugi koszalinianie musieli na kolanach przepraszać księcia. Wówczas dopiero padły słowa przebaczenia. Ale nie był to koniec: trzeba było jeszcze księcia i cały jego orszak należycie ugościć. Przez trzy dni Bogusław X wraz z żoną i dwustuosobowym orszakiem siedział więc w Koszalinie, jedli, pili, bawili się i kpili z upokorzonego miasta – oczywiście wszystko na koszt grodu z głową Jana Chrzciciela w herbie.[5]

Bezkrwawe pokonanie Koszalina było wielkim wewnętrznym sukcesem Bogusława X. Skarbiec książęcy napełnił się, książę pokazał swoją siłę i pozyskał szacunek. Sam Bogusław X jednak też wyciągnął wnioski z gniewu koszalińskiego ludu: zaczął niezwykle dbać o przestrzeganie porządku i prawa w państwie. Przeprowadził dokładną kontrolę systemu podatkowego, oddając go w znacznej części w ręce duchownych, którzy otrzymywali od niego lenna kościelne i dzięki temu nie byli łasi na podkradanie książęcych pieniędzy. Przede wszystkim zaś polecił bez litości tępić rabusiów. Posłał do działań policję w postaci książęcych drużyn: rozbójnicy, często typowi raubritterzy wywodzący się ze szlachty i mający oparcie w swoich zamkach, jeden po drugim kończyli na szubienicach, ich łupy były konfiskowane – to akurat książęca policja robiła chętnie – a zamki burzone. Przez wiele lat straszyły potem jako ruiny, w których według legend miały kryć się zamurowane skarby i błąkać duchy zbójcerzy[6]. Na drogach zrobiło się zaś tak bezpiecznie, że pojawiło się później powiedzenie, iż za księcia Bogusława można było na Pomorzu złoto na głowie nosić.

Ach, gdyby tak dziś... [ ]

W dniu 5 maja 1789 r. w Paryżu zebrały się Stany Generalne, organ reprezentujący społeczeństwo feudalnej Francji, wywodzący się z kurii królewskiej, powołany do życia przez Filipa IV Pięknego w 1302 r. dla uzyskania poparcia politycznego przez monarchę w sporze z papieżem Bonifacym VIII. Zebrani po raz pierwszy od 175 lat przedstawiciele duchowieństwa, szlachty i tzw. Trzeciego Stanu rozpoczęli obrady w warunkach narastającego kryzysu politycznego i finansowego oraz wrzenia społecznego wywołanego wieloma czynnikami. Impuls dla nadchodzących, nieuchronnych przemian stanowiły m.in. przegrana wojna siedmioletnia z Anglią i Prusami, kosztowny udział w wojnie o niepodległość kolonii brytyjskich w Ameryce, spory z Parlamentem Paryskim i innymi parlamentami odmawiającymi rejestracji królewskich ordonansów, dekoniunktura gospodarcza w rolnictwie, a przede wszystkim coraz bardziej dławiący większość społeczeństwa monarszy absolutyzm, oparty na feudalnej strukturze państwa i społeczeństwa.

W dniu 17 czerwca Stany Generalne z woli mandatariuszy Trzeciego Stanu działających przy asystencji części członków dwóch pierwszych kurii przekształcone zostały w Zgromadzenie Narodowe. Zgromadzenie postawiło przed sobą zadanie uchwalenia konstytucji. Z tego też powodu od 9 lipca Zgromadzenie Narodowe rozpoczęło pracę jako Konstytuanta. Efektem prac Konstytuanty w 1789 r. było m.in. uchwalenie w dniu 26 sierpnia Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela. Akt ten wypływał z przemyśleń opartych na prawie natury. Ogłoszono w niej „naturalne, niezbywalne i święte prawa człowieka" (wszystkie fragmenty Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z 26 sierpnia 1789 r. pochodzą z pracy: Najstarsze konstytucje z końca XVIII i I połowy XIX wieku, wybrał, przełożył i wstępem opatrzył Paweł Sarnecki, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1997, s. 18-20.). Te ściśle związane z godnością ludzką prawa to „wolność, własność, bezpieczeństwo i opór przeciwko uciskowi". Obok praw człowieka i obywatela w Deklaracji wskazano także zasady na jakich należało zorganizować państwo, by mogło ono wypełniać podstawową funkcję, której istotą była ochrona tychże praw. Podkreślano wyraźnie, że „celem każdej organizacji politycznej jest zachowanie naturalnych i nie podlegających przedawnieniu praw człowieka". Do tych podstawowych zasad ustroju państwowego zaliczono: suwerenność Narodu, podział władz, przedstawicielstwo narodowe, państwo prawa oraz odpowiedzialność osób sprawujących władzę państwową.

W Deklaracji uznano, że *„Źródło wszelkiej suwerenności znajduje się całkowicie w Narodzie. Żadne ciało, żadna jednostka nie może wykonywać władzy, która nie pochodziłaby wyraźnie od Narodu"*. Suwerenność rozumiana jako pełnia władzy zwierzchniej przejawiać się miała w swobodnym, nieskrępowanym żadnymi zewnętrznymi czynnikami, ale nie idącym w kierunku dowolności, nakreślaniu granic wolności każdego członka narodowej wspólnoty. Twórcy De-

Postulaty Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z 1789 r. dotyczące ustroju państwa - gwarancją i zabezpieczeniem wolności

klaracji podkreślali, że granicą wolności człowieka jest wolność drugiego człowieka. Prawo jako wyraz woli powszechnej (gdyż każdy obywatel miał możność brać udział w jego stanowieniu osobiście np. w drodze referendum lub przez przedstawicieli wyłonionych w drodze wyborów) miało oznaczyć te granice. Dla zapewnienia realizacji prawa wyrażania woli obywateli przez przedstawicieli należało zorganizować system organów reprezentacyjnych, zarówno kolegialnych jak i jednoosobowych. System organów państwa miał być oparty na zasadzie podziału władz. Zasadzie, która zapewniała bezpieczeństwo suwerenności Narodu i wolności obywateli oraz formułowała system konstytucyjny społeczeństwa. Istotą podziału władz w rozumieniu twórców Deklaracji było uznanie, że każda władza państwowa mogła wykonywać określone kompetencje, jedynie w zakresie wyraźnie im przyznanym. Ustawodawca i rząd w żadnych okolicznościach nie mogły wymierzać sprawiedliwości, a sądy nie były od stanowienia prawa lub jego egzekucji. W Deklaracji francuscy deputowani wyrażali pogląd, że władzę publiczną *„ustanawia się w interesie ogółu, a nie dla szczególnej wygody tych, którym została powierzona”*, dlatego też by przedstawiciele, którym powierzono odpowiedni mandat swoim działaniem nie wywoływali niebezpieczeństwa dla naszych wolności *„społeczeństwo ma prawo żądać od każdego urzędnika publicznego sprawozdania z jego działalności”*. Kontrola władz państwowych jest więc niezbędna dla utrzymania wolności. Obywatele mogą je kontrolować osobiście, choćby przez udział w jawnej rozprawie sądowej lub przez swoich przedstawicieli zorganizowanych w odpowiednie organy państwa. Reprezentanci Narodu: posłowie, ministrowie, sędziowie wykonując powierzoną im władzę muszą umacniać i zabezpieczać nasze wolności i prawa. Muszą przede wszystkim pamiętać o zasadach wyrażonych w Deklaracji, że *„Ludzie rodzą się i pozostają wolni i równi wobec prawa”; „Ustawa może zabraniać tylko takiego postępowania, które jest szkodliwe dla społeczeństwa. Nie można zakazać niczego, co nie jest zakazane przez ustawę i nikt nie może być przymuszany do tego, czego ustawa nie nakazuje”; „Żaden człowiek nie może być oskarżony, aresztowany i więziony poza przypadkami określonymi przez ustawę, z zachowaniem form przez nią przewidzianych”; „Każdy człowiek jest uważany za niewinnego, dopóki nie zostanie uznany winnym”; „Ustawa może wprowadzać tylko takie kary, które są w sposób oczywisty konieczne, dokładnie je określając”; „Nikt nie może być niepokojony z powodu swoich przekonań, również religijnych”; „Swoboda przekazywania myśli i poglądów jest jednym z najcenniejszych praw człowieka”*. Pamiętać także powinni, iż *„Ci, którzy powodują, wydają, wykonują lub polecają wykonać samowolnie nakazy, winni być ukarani”; „Ustawa winna karać zastosowanie wobec osądzonego rygorów, które nie są nieodzowne, aby zapewnić jego osobistą odpowiedzialność”*.

Tych kilka przedstawionych wyżej zdań z Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela uchwalonej w 1789 r. stanowi fundament wielu społeczeństw. Od ich sformułowania upłynęło ponad 200 lat, wciąż jednak trzeba je przypominać w różnych częściach współczesnego świata. [ ]

dr Marek Tkaczuk, Katedra Historii Prawa, Wydział Prawa i Administracji US

ks. dr Grzegorz Harasimiak, *Katedra Prawa Karnego Materialnego WPiA US*

Pełnomocnik w prawie kanonicznym

W procesie kanonicznym jedną z kategorii podmiotów mogących w nim brać udział są pełnomocnicy. Dopuszczenie do procesu osób mających taki status oczywiście nie jest właściwe tylko prawu kanonicznemu. Niemniej posługiwanie się jednakowym terminem w prawie kanonicznym jak i świeckim nie oznacza identyczności instytucji tak określanych.

Instytucja pełnomocnika procesowego w ramach prawa kanonicznego funkcjonuje od stuleci. Podobnie jak i w prawie świeckim, wprowadzono ją w oparciu o rozwiązania znane prawu rzymskiemu. Ściślej rzecz biorąc wiąże się z charakterystycznym dla procesu formułkowego zastępstwem określonym jako zastępstwo per procuratorem. Nie wdając się w szczegóły wystarczy wskazać, iż chodziło o osobę, która spełniała w sądzie czynności procesowych ze skutkami dla osoby reprezentowanej. Pełnomocnik procesowy występował w imieniu i w zastępstwie strony procesowej.

Podejmując kwestię instytucja pełnomocnika procesowego w obowiązującym od 1983 roku Kodeksie Prawa Kanonicznego (dalej określanego skrótem KPK) na wstępie trzeba zwrócić uwagę na dwie kwestie. Po pierwsze, trzeba uwzględnić homogeniczny charakter tegoż kodeksu. Jako jednolity akt, zawiera on uregulowania właściwe różnym gałęziom prawa. Uwaga ta odnosi się również do procedury postępowania sądowego. Podzielona jest ona na cztery grupy nazywane procesem: spornym, specjalnym, karnym i dotyczącym rekursów administracyjnych. Te wydzielone procedury poprzedzają zapisy mające charakter uregulowań ogólnych, a więc dotyczących spraw i instytucji dla nich wspólnych. Wśród nich znajdują się kanony dotyczące pełnomocników procesowych (kan. 1481-1490 KPK). Druga ważna kwestia to usytuowanie i sama redakcja wspomnianych kanonów. Dotyczą one zarówno pełnomocników procesowych jak i adwokatów kościelnych. Jako uczestnicy procesu kanonicznego są oni rozróżniani, ale ustawodawca kościelny zdaje się w ten sposób sugerować, iż powoływani są do zbliżonej materii spraw. Nie przeszkadza w tym nawet zróżnicowany zakres ich zadań, funkcji i kompetencji. Dodatkowo, należy zwrócić także uwagę na to, że wspomniane kanony wchodzą w szerszy zakres. Stanowią wydzieloną część dotyczącą charakterystyki stron w sprawie. Jest to zrozumiałe, bowiem istnienia instytucji pełnomocników i adwokatów immanentnie związane jest z przyznanymi stronom prawami. Kompetencje obu grup podmiotów są ściśle powiązane z pozycją procesową osób, na rzecz których podejmują działania. Ograniczając się już tylko do kwestii pełnomocników, jest to przynależne stronie prawo korzystania z ich pomocy, a nie warunkowany jakimiś względami wymóg procesowy (kan. 1481 §1 KPK).

Pełnomocnik procesowy w prawie kanonicznym to osoba, która podejmuje za inną pewne czynności procesowe. Siła rzeczy - podobnie jak i w przypadku prawa świeckiego – jego działalność związana jest z prawami przynależnymi osobie posiadającej zdolność procesową. Stanowi ich realizację przez dostępne w postępowaniu sądowym działania podejmowanie albo osobiście, albo przez ustanowioną przez siebie inną osobę - właśnie pełnomocnika. Pośrednio instytucja pełnomocnika procesowego wiąże się więc także z gwarancją możliwości korzystania przez strony z przysługujących im praw. Jednakże w odróżnieniu od adwokata kościelnego jego zadaniem nie jest obrona praw strony procesowej, wspomaganie jej w podejmowaniu czynności, czy pomoc w występowaniu przed odpowiednimi organami. Chodzi bowiem o pomoc w faktycznym zrealizowaniu pewnych czynności ze skutkami prawnymi dla osoby, która jest w ten sposób reprezentowana.

Formalną podstawą działania pełnomocnika jest odpowiednie zlecenie (kan. 1484 KPK). Należy je traktować jako upoważnienie do podejmowania wszystkich czynności, jakie zwykle wykonuje strona w postępowaniu. Winno ono mieć formę pisemną z miejscem i datą wystawienia, opatrzonymi odpowiednio poświadczonym własnoręcznym podpisem strony procesowej (np. przez proboszcza, notariusza). Możliwe jest jednak ustne udzielenie zlecenia na posiedzeniu sądu, byleby fakt ten został wciągnięty do protokołu. Nie ma przy tym sprecyzowanego katalogu czynności jakie są domeną pełnomocnika procesowego. Ogólnie można jednak wskazać, iż chodzi o przedstawianie odpowiedniemu organowi pewnych dokumentów (np. pozwów i rekursów), otrzymywanie powiadomień urzędowych i przekazywanie stronie informowanie, inicjowanie lub wykonywanie prawem przewidzianych czynności (zawiązania sporu, zgłaszania wniosków dowodowych, podnoszenia zarzutów, przeglądania akt sądowych itd.). Zgodnie z treścią

kan. 1485 KPK, pewnego rodzaju czynności czy decyzje - z racji ich wagi i konsekwencji - wymagają specjalnego umocowania (np. zrzeczenie się powództwa, skargi, instancji lub zawarcie ugody, umowy). W takich sytuacjach wymagane jest pełnomocnictwo szczegółowo określone (ad actum). Dodatkowo prawem i obowiązkiem pełnomocnika już po wydaniu ostatecznego wyroku, jest wniesienie apelacji w przypadku, gdy mocodawca z niej nie zrezygnował (kan. 1486§2 KPK).

Pozycja i rola jaka w kanonicznym procesie spełniają pełnomocnicy warunkują wymogi stawiane przed osobami mogącymi nimi być. Generalnie chodzi o ludzi, którzy są w stanie realizować uprawnienia strony i działać na jej korzyść. Musi więc mieć możliwość rozeznania w sprawie (np. znajomość języka w mowie i piśmie). Waga spraw powoduje, iż właściwie jedynymi prawnie przewidzianymi wymogami jest to, aby były to osoby pełnoletnie, legitymujące się wysokim poziomem moralnym (kan. 1483 KPK). Nie muszą za to posiadać jakiegoś szczególnego wykształcenia, a także nie ma jakichś wymogów co do ich wyznania. Pod tym względem wymagania stawiane wobec pełnomocników są łagodniejsze niż wobec adwokatów kościelnych. Jednakże, ustanowiony pełnomocnik na skutek ważnej przyczyny, stosownym dekretem może być usunięty ze sprawy (kan. 1486-1499 KPK).

Na koniec warto zwrócić uwagę, że nie ma wymogu jak przy adwokatach kościelnych, aby pełnomocnicy byli wybierani tylko ze znajdującej się w danym sądzie kościelnym listy osób. Zależy to tylko od woli strony. Dlatego pełnomocnikiem może być np. współuczestnik sporu, rodzic, współmałżonek, krewny - brat czy siostra. Oczywiście może nim być jeden z patronów ustanowionych przy sądzie kościelnym. Po myśli kan. 1490 KPK, danie takiej możliwości stanowi obowiązek każdego sądu kościelnego. [ ]

kredyt hipoteczny,
który broni się sam

SPECJALNY program kredytowy
dla prawników

Stajemy w obronie najkorzystniejszych warunków

- uproszczona procedura badania zdolności kredytowej
- finansowanie celów: mieszkaniowych, konsolidacyjnych, dowolnych - do 125% wartości nieruchomości
- bezpłatne rozpatrzenie wniosku
- bezpłatna wycena nieruchomości wykonywana przez bank
- okres kredytowania do 30 lat
- zabezpieczenie na więcej niż jednej nieruchomości, także należącej do osoby trzeciej

DOM Oddział GETIN Banku SA
Biuro Kredytów Hipotecznych
w Szczecinie
T: (0-91) 432 25 60
Arek, M: 601 911 769
Norbert, M: 695 921 690
Robert, M: 601 915 392
www.dombank.pl

dom
hipoteki po prostu

Suplement

Za pośrednictwem redaktorka zwrócono mi uwagę (dlatego zauważyłem), że w poprzednim numerze opisując „organistów" (nie, nie, nie kombinujcie jest dobrze napisane) pominąłem pewną grupę. Uczyniłem to świadomie, myślałem, że nie będę musiał się nimi zajmować. Niestety... Przyznaję organy posiadają także różne twory, które nie mają żadnej osobowości ani zdolności. Mimo to ich organy działają. To żadna nowość: brak osobowości i zdolności nie jest, szczególnie w dzisiejszych czasach, potrzebna do tego, aby zrobić sobie dobrze, wystarczy, że będziemy w zgodzie z cudzymi ale za to nadrzędnymi organami. Niektórzy utożsamiają się z organem, zjawisko mimikry kwitnie, jak przebywasz wśród organów to upodabniasz się do nich i stajesz się jednym z nich, więc leżysz. Wracając do osobowości i zdolności. Dzisiaj te cechy postrzegane są dość opatrznie. Za osobowość uchodzi ktoś, kogo pokazano w telewizji. Zapominamy, że ci co decydują o tym kogo tam pokazać to dopiero filety. Jeżeli chodzi o zdolności to najbardziej pożądane są te do pozbywania się osobowości (własnej) na rzecz cudzej. Jako, że ten, kogo naśladują działa tak samo, tworzy się armia bez osobowościowych typów całkowicie pozbawionych zdolności. Mają za to legitymację – tę jedyną i właściwą. No i dodatkowo posiadają mandat - od nas. Rozważmy przy najbliższej okazji komu udzielamy mandaty. Nie szafujmy nimi jak policja drogowa. Chociaż, działamy podobnie: nie zawsze mandat dostaje ten, kto powinien. Przepraszam, znosi mnie w tanie pouczanie, a tym zajmować się nie chcę, ze względu na higienę psychiczną.

Powyższy opis dobrze ilustruje postępowanie pewnego adwokata występującego przed Trybunałem Konstytucyjnym. Nie wiem kiedy zapoznał się z moim poprzednim tekstem o lustracji organów. Tak się przejął, że noc spędził w lustratorni i dlatego rano, występując publicznie nie był nawet swoim cieniem. Wyglądał jak własny list gończy. Zresztą może to i lepiej dla niego. Łatwiej mu wytłumaczyć się ze swojego zachowania. Nałykał się kurzu historii, a ściślej histerii i to go jakoś usprawiedliwia. Myślę, że ten młodzieniec dobrze spełnił swoją rolę. Okazał się bowiem adwokatem utalentowanym w kierunku listonosza. Może, o ile nie sprzeciwią się prawdziwi listonosze, właściwa dla niego ORA umożliwi mu zmianę zawodu. Nie zauważył, że walcząc z donosicielstwem sam stał się donosicielem. Jego zachowanie doskonale pokazuje sposób działania konfidentów. Przekazują oni na zlecenie zamówione informacje, których prawdziwość jest taka jak na załączonym obrazku. W zamian dostał odpowiednie wynagrodzenie. Został pochwalony po ojcowsku przez Pana Marszałka i wtajemniczeni mówią, że podobnie jak pies drugiej osoby w Państwie, będzie mógł chodzić po Sejmie przy nodze, na razie jednak na smyczy. Osobiście uważam, że bez smyczy i komend to on już siusiu sam nie pójdzie (chyba, że na trawnik). Kagańca mu nie potrzeba, bo zamiast kłów ma niegroźne mleczaki. Pierwszą lekcję tresury zdał na piątkę, przyniósł co mu rzucono: aportowanie ma zaliczone. Poświęcam Panu Mecenasowi tyle uwagi aby zwrócić uwagę Jego Wielczestwu Temidowi, że nie wszyscy zieloni, są do odstrzału. Jest nadzieja Panie Ministrze! Zbliżają się wybory do naczelnych władz samorządów, no... śmiało.

A poważnie to on skompromitował lustrację, bo kto widział donosiciela donoszącego do Kowalskiego na Kowalskiego? Nawet Pawka Morozow wiedział gdzie donieść na własnego ojca.

Jak powszechnie wiadomo zmieniany jest ustrój. Na razie, dzięki Temidowi najbliżej nam do zmiany ustroju sądów. To zawsze coś. Rozwiązania, jak nakazuje logika rewolucji, radykalne i bezkompromisowe. Sądy 24-godzinne dla sędziów to perła w koronie zmian, oczko w głowie wielbicieli nowoczesnego, demokratycznego państwa. Jak wiadomo, sądownictwo 24-godzinne dotyczy przestępstw drobnych i sprawców schwytanych *in furtum manifestum*. Sędziów zaliczono do grona takich właśnie osób – drobni przestępcy przyłapani na gorącym uczynku. Szczerze mówiąc jest mi głupio, bo moje świątecznonoworoczne życzenia składane sędziom zaczynają się niebezpiecznie spełniać (patrz IG 1/2007).

Dla bezpieczeństwa i w obawie przed wszechobecnymi organami donoszę uprzejmie, że nie znam osobiście: B. Geremka, T. Mazowieckiego, A Zolla, M. Safiana, A. Michnika, R. Kapuścińskiego, A. Kwaśniewskiego, J. Miodka, L. Wałęsy...

[Para–Graf]

Ambasador Norwegii w Polsce Knut Hauge obok mec. Jan Kubiak

W sobotnie słoneczne popołudnie 19 maja, reprezentując naszą izbę, przyjechałem wraz z osobą towarzyszącą (dla niewtajemniczonych powiem, że z własną żoną) do klubu golfowego Binowo–Park.

Nie zamierzałem jednak ani uczyć się, ani też grać z VIP-ami w golfa. Miałem jednak przyjemność brania udziału w pikniku, który zorganizował dla zaproszonych gości Konsulat Honorowy Norwegii.

Pan Mecenas Jan Kubiak wraz z małżonką witał gości w obecności Ambasadora Norwegii w Polce - Pana Knuta Hage i jego żony.

Obecni byli także norwescy oficerowie marynarki, którzy pewnie reprezentowali atachat tej Ambasady, oraz wielu gości reprezentujących tak Polskę, jak i Norwegię.

Okazją spotkania było przypadające co roku w maju święto narodowe Królestwa Norwegii. Nie obyło się przy tym bez stwierdzeń co do istniejących od lat gwarancji konstytucyjnych Królestwa.

Spotkanie to pozwoliło mi oderwać się od codzienności i wiecznych dyskusji „gdzie zmierza adwokatura?".

Siedząc przy stoliku i sącząc czerwone wino cieszyłem się, że w naszej korporacji są adwokaci, którzy robią coś więcej niż tylko branie udziału w codziennych rozprawach, obsługiwanie firm, spotkanie się z klientami i omawianie trudnych zagadnień prawniczych.

Zaskakujące były skromność i zachowanie przybyłych gości, a dyskusja o kierunku, w którym zmierza Polska, nie pojawiła się bez przyczyny.

Na plan dalszy zeszły prowadzone w pokoju adwokackim - bez efektu - dyskusje, czy i w jakim zakresie planowane przez Ministerstwo Sprawiedliwości zmiany wpłyną na naszą korporację, czy kasy fiskalne rzeczywiście są konieczne i czy sądy apelacyjne uzdrowią nasze sądownictwo dyscyplinarne.

Cieszyć się jednak należy, że Szczecińska Izba ma w swoim gronie adwokatów piastujących stanowiska konsuli honorowych innych państw. Król Norwegii ceni sobie osobę Pana Mecenasa Jana i akceptuje to, co w nim jest wartościowe, nie kierując się uwarunkowaniami politycznymi, bo i dlaczego?

To sobotnie spotkanie pozwoliło mi uwierzyć, że adwokatura ma w sobie to przesłanie, które nie jest obce innym demokratycznym krajom, i o które winniśmy dbać w naszej codziennej pracy.

Kiedy po powrocie z pikniku do domu późnym wieczorem szedłem po Bezrzeczu na spacer z psem byłem przekonany, że dla prawidłowego wizerunku każdego z nas ten zawód wymaga skromności, wiedzy, dyplomacji i wzajemnej życzliwości wobec siebie.

A może jednak trzeba rozważyć przywrócenie monarchii, abyśmy byli bardziej demokratyczni i obiektywni w swoich poglądach i prezentowanych stanowiskach.

Na króla jednak kandydować nie planuję, chyba że taka będzie wola ogółu, ale demokracji nie zamierzam zagrażać. [ ]

adwokat Andrzej Zajda

Masz pełne prawo

LEX
a Wolters Kluwer business

www.LEX.com.pl
infolinia 0 800 120 188

System Informacji Prawnej LEX

- Codziennie ujednolicane teksty aktów prawnych
- Bieżąca aktualizacja wszystkich treści
- Aktualne powiązania między dokumentami

Pierwsza codzienna aktualizacja na rynku!